

Krzysztof Warga
45 POMYSŁÓW NA POWIEŚĆ
Wersja elektroniczna: Juliusz Koczaski

* * *

Projekt plastyczny okładki i strony tytułowej: Kamil Targosz Zdjęcie na okładce: Wojciech Wilczyk Korekta: Mirosława Dłużniewska
Copyright (c) by Krzysztof Warga, 1998
Skład komputerowy:
Robert Oleś - Design Plus, Kraków, tel. 0602-289-047 Druk i oprawa:
Zakład Poligrafii Instytutu Technologii Eksploatacji,
ul. K. Pułaskiego 6, Radom
ISBN 83-87391-01-8
Wydawnictwo Czarne s.c.
Czarne 4
38-309 Gładyszów
fax: (018) 353-63-60
Czarne 1998
Wydanie I
Ark wyd. 5, Ark. druk. 4,5

* * *

1.

"READING, WRITING AND ARITHMETIC" THE SUNDAYS

Moja droga, tutaj czas płynie tak samo jak zawsze. Nawet nie potrafię powiedzieć, czy szybko, czy wolno. Żyję według starego, sprawdzonego schematu, tak samo jak przed twoim, przyznam to z bólem, nieoczekiwanym wyjazdem. Może dlatego tak bardzo zaskoczyło mnie twoje zniknięcie, bo ja bym, jak sądzę, nie potrafił nagle uciec, rzucić wszystkiego, wymazać tych długich lat, uznać za niebyłe dawne przyzwyczajenia. Twoją nieobecność odbieram wyjątkowo intensywnie. Nieustannie tracę czas - w pracy, w autobusie, w zadymionej knajpie, gadając o niczym. Mieszkać w tym mieście, to znaczy chcieć mieszkać w tym mieście. To znaczy być każdym autobusem, tramwajem, każdą budką telefoniczną z urwaną słuchawką aparatu, każdą knajpą, snobistycznym lokalem z wyściełanymi kanapami, sztywnym jak latarnia barmanem, stojakiem na parasole, wieszakiem na gazety, każdą ponurą piwiarnią, w której nigdy nie wiadomo, skąd padnie pierwszy cios. Mieszkać tutaj, to znaczy jeździć nocnymi autobusami. Między jedenastą wieczorem a drugą w nocy wszyscy się w nich całują. Między drugą a piątą rano wszyscy rzygają. To też jest jakiś niezmienny obrzęd. Żyjemy tu w cudownym pogaństwie. Składamy krwawe ofiary i wielbimy duchy przodków. Powinnaś tu wrócić. Spektakularnie, przy dźwiękach orkiestry i zachwyconym jęku wiwatujących tłumów, a może skrycie, w przebraniu, zdejmując dopiero przede mną kamuflującą maskę. Przecież sama wiesz, że stąd nie da się tak naprawdę wyjechać. Być daleko to wciąż tylko znaczy być tutaj. Ci, o których pytasz w listach, też tak sądzą, choć coraz mniej mam z nimi kontaktów, a i nawet jakoś nie chce mi się do nich dzwonić, choć przecież byłbym w stanie wygospodarować na to trochę czasu, choćby teraz, ale jakoś trudno mi się na to zdecydować. Wyrzuty sumienia mnie nie zżerają, bo sądzę, że im również szkoda na to czasu, zwłaszcza że przecież jest tyle konstruktywnych rzeczy do zrobienia, a koszty utrzymania rosną i trudno już nie kalkulować, nawet wtedy, gdy

pisze się poematy. Wyobraź sobie, że niedawno na jednym z alkoholowych przyjęć, na które uczęszczam z pewną regularnością, zasypiająca na kanapie od nadmiaru dymu i wina dziewczyna powiedziała mi "przykryj mnie", a ja żałowałem, że nie powiedziała "pokryj mnie". Czy to źle o mnie świadczy? Bo ja sam już nie wiem.

Kpisz sobie ze mnie, że zajmuję się liczeniem akcentów w wierszach i szukaniem średniówek. Ja nie śmieję się z ciebie, nawet mi to na myśl nie przychodzi. Twój kochankowie nawet nie wiedzą, co to jest średniówka, nie wspominając już o trochejach, jambach i anapestach, zaś akcent kojarzy im się raczej z ich własnym, zdradzającym miejsce pochodzenia. Myślisz, że ślęczę po nocach, mrużąc i pocierając zmęczone oczy, wertuję grube księgi, robię notatki, starannie podkreślam cytaty. Nie, moja droga. Ja wtedy stoję na przystanku, przechodzę przez ulicę, wkraczam pewnym krokiem do sklepu nocnego i składam typowe jak na tę godzinę zamówienie. Automat telefoniczny na rogu pożera mi ostatni żeton i zastanawiam się, co zrobić z resztą darowanej nagle nocy. Być może właśnie wtedy ogarnia mnie owo (że posłużę się cytatem zaczerpniętym ze skrzydełka książki Joan Didion "Graj jak się da" w edycji Wydawnictwa Literackiego - swoją drogą ta seria prozatorska już się nie ukazuje) "doświadczenie ostatecznej, egzystencjalnej pustki".

Ach, właśnie. Wyobraź sobie, że robiąc ostatniej niedzieli porządki w domu, znalazłem pokreśloną w zapamiętaniu gramatykę łacińską w pomarańczowych okładkach, z której razem się kiedyś uczyliśmy. Tabelki, odmiany, w środku luźne kartki, kolorowymi flamastrami podkreślone zaklęcia: Plusquam Perfecti, Imperfecti, Futuri Exacti. Coniunctivusy i Indicativusy. Nigdy nie byłem w tym dobry, od biedy potrafiłbym dzisiaj odmienić coś w pierwszej deklinacji i to wszystko. Gdzieś w zakamarkach pamięci pozostały już tylko niepotrzebne fragmenty wierszy i jakieś przemowy Cycerona. A czy ty pamiętasz coś jeszcze prócz tego tekstu, którego wszyscy uczyli się na pamięć iście panicznie, bo jego znajomość dawała upragnione zaliczenie semestru? Na przykład wielką bibliotekę, gdzie można było w sobotnie południe spotkać mnóstwo znajomych i umówić się, w trakcie pogawędki przy katalogach lub w palarni, na wieczór? Nie byłem tam od lat. Podobno nie można tam już nikogo spotkać. Więc już tam nie chodzę. Gdy naprawdę muszę przeczytać coś, czego nie zawierają moje prywatne zbiory, wybieram inną czytelną, większą i lepiej zaopatrzoną, ale nie dającą tego niepowtarzalnego uczucia, gdy zapala się lampkę nad drewnianym, ciężkim stołem, by lepiej widać było małe litery maszynowego pisma na pożółkłych stronach skryptu, lub gdy specjalnym nożem rozcina się strony dziewiczej, choć przecież pochodzącej sprzed ćwierci wieku książki.

Czasami wieczory spędzam w domu. Włączam magnetofon, tak jak teraz, muzyka zawsze przyciąga wspomnienia. Każda kasetka to kawałek życia nagrany na taśmie. Dotykam przycisków: play, rewind, stop. Rzeczywiście, wtedy mój dom zamienia się w mój zamek. Odpieram kolejne szturmy i wreszcie bohatersko wysadzam się w powietrze.

2.

PROSPEKT TURYSTYCZNY KUSI TAK BARDZO

Z lewej strony widać szczyty stromych gór, stoki narciarskie pokryte są solidną warstwą ubitego śniegu, więc można szusować do woli, czemu sprzyja nieograniczona przepustowość kursującego bez chwili odpoczynku wyciągu. Oto kilka atrakcyjnych wariantów do wyboru: łagodnie nachylony spadek, długa rekreacyjna trasa, z odcinkami leśnej nartostrady, albo krótka, lecz stroma i szybka, zdecydowanie bardziej nadająca się do preferowanego przez entuzjastów slalomu specjalnego. Wszystkie schodzą się w jednym miejscu, w którym należy wyhamować i już spokojnie zsunąć się zgrabnym szusem w kierunku hotelu. Nonszalancko odpiąć narty ustawić je w stojaku i przed wejściem do budynku otrząść się ze śniegu. Już w hałlu, nie zatrzymując się, zrzucić czapkę i rękawice, by iść pomiędzy fotelami, kanapami i

palcami tylko w ciężkich butach narciarskich i skafandrze. Mijając secesyjną cukiernię i eleganckich, pachnących naftaliną starców z filiżankami gorącej czekolady, przejść przez oszklone drzwi i wejść już bosy na gorącą, szeroką plażę. Wkroczyć pomiędzy parawany, wiklinowe kosze, rozłożyste parasole. Zaskakująco gładkie morze jest takie błogie, ciepło rozleniwa. Zadziwiające są kombinacje kremów i olejków do opalania, XIX-wieczne trykoty w paski i słomkowe kapelusze ze wstążkami, legendarne bikini i opływowe stroje z materiałów kosmicznych. Na leżaku, z twarzą przykrytą gazetą, śpi wielokrotny morderca. Niedaleko stąd, na obrzeżach wielkiego osiedla, powstały dwa nowe o niepokojącej architekturze domy z drink barami na dachach. Zewsząd zwiesza się oranżeryjna roślinność, słońce oświetla fotele wraz z zawartością, nie grzejąc jednak zbyt natarczywie. Niebawem zamieni się w doskonale ustawione sztuczne oświetlenie, potężną armię watów obrysowujących rośliny, szklanki, stoliki. Niżej, na ostatnich kondygnacjach, puszą się swoim bogactwem ogromne pokoje, wyrafinowanie i ze smakiem urządzone podług wskazówek w specjalistycznych pismach. Dużo łóżek, kanap, tapczanów, niskie stoliki z popielniczkami i podstawkami pod szklanki. Oczywiście szumi dyskretna muzyka, trwa nieustająca nastrojowość, bez względu na porę dnia, samopoczucie gości, stan ich finansów i niepokoje społeczne. Jakie miłe przyjęcie, mówi jedna z licznie zebranych wytwornych, zwanych światowymi, kobiet. Nie lubię chamstwa i obłudy, mówi druga, strzepując tytoń lub poprawiając delikatnym muśnięciem palców lakierowaną strukturę włosów. Gdzie jest wódka, mówi trzeci mężczyzna, po którego zachowaniu widać, że już wypił kilka drinków. Może gra orkiestra Glenna Millera i niektórzy czują się jak prywatni detektywi w przedwojennym Chicago, Wielki Gatsby albo zbankrutowany arystokrata w drodze do Afryki. Może śnią im się bulwary pełne zachodzących słońc, a może raczej ciepłe, księżycowe noce. Na ulicy rząd taksówek szczyrzy kły, czekając na wychodzące nieopatrnie ofiary. Tymczasem jest inaczej. To morze naprawdę śmierdzi, a plaża jest brudna, tylko w nocy tego nie czuć i nie widać, więc stąd te nagłe uniesienia, uczuciowość i wiara w przyszłość. Hotel tak naprawdę jest żałosną ruiną, może kiedyś, o tak, w latach dwudziestych tutaj tętniło życie. Nieustające bale, kobiety w niezapomnianych kreacjach, mężczyźni potrafiący trzymać uczucia na wodzy. Wszystko było doskonale wysmakowane. Tylko cień tajemniczej zbrodni kładł się na meblach. Stare, chronione szybą zdjęcie przedstawia wszystkich gości sylwestrowej zabawy 1927 roku. Jeden z tych mężczyzn jest mordercą. Jedna z tych kobiet jest jego namiętną aż po perwersję kochanką. Wenecja, Monte Carlo, dużo, dużo szampana, charleston, charleston, czerwony bugatti pędzi na oślep, zostawiając za sobą opadający kurz mijających dni. Wyścigi konne, loty balonowe, wielki samotny zeppelin i stada aeroplanów. Eleganckie Hispano-Suiza cicho zbliża się do podjazdu przed pałacem. Europa otrząsnęła się już z wielkiej wojny, można by pomyśleć o jakiejś następnej.

3.

"BACK TO THE OLD HOUSE" THE SMITHS

Granatowy autobus z wyuczonym wysiłkiem wspina się wąską drogą pomiędzy schludnymi niskimi domami o bielonych ścianach i eleganckimi willami z ukwieconymi balkonami. Mija pedantycznie przycięte trawniki i tajemnicze, zapuszczone ogrody ze spróchniałymi ławkami i zaśniedziałymi posągami imitującymi mitycznych bożków. Jest koniec sierpnia kapiącego słodkim, lepkiem sokiem dojrzałych owoców, osiadającego brudnym piaskiem na liściach i chodnikach. Późne popołudnie czerwienieje, by zaraz potem zgranatowieć, upodobnić się do miejskiego autobusu. Nieduży sklep przy skrzyżowaniu dróg w górę i w dół miasta z wystawionym przed drzwi plastikowym stolikiem z trzema magicznymi krzesłami oferuje obowiązkowy zestaw składający się z zimnego piwa i papierosów, tabliczkę czekolady, sześć omszałych brzoskwiń, które za chwilę trysną sokiem wprost w twarz zbyt dociekliwego

klienta. Ostatni model luksusowego samochodu stacza się bezwładnie po stromiż-nie ulicy w kierunku szpitala dla nieuleczalnie chorych. Podstarzały urzędnik państwowy wraca z cotygodniowych kąpieli w uzdrowisku słynącym z cudotwórczych gorących źródeł. Tuż przed jego obwisłym od wspomnień ciałem przejeżdża na sportowym rowerze dwunastolatek kolekcjonujący zdjęcia mistrzów sportu, coraz częściej podkradający ojcu wojskową lornetkę, by tuż po północy stanąć naprzeciw studentki filozofii, którą następnego dnia spotyka w granatowym autobusie, gdy ta mruży oczy, patrząc przez szybę na równy rząd drzew wzdłuż alei wiodącej do centrum miasta. W dużej torbie ozdobionej orientalnymi wzorami nosi garść kosmetyków i gęsto zapisany notes z telefonami. Od cmentarnego Kierkegaarda woli nie mniej filozoficznego Henry Millera. Zaczytuje się w "Zwrotniku Raka", "Zwrotniku Koziorożca" i całym "Różoukrzyżowaniu". Myśli o sobie - Mona. Wie, że jest perfekcyjnym połączeniem zmysłowości z inteligencją. Kiedy zapala papierosa w śródmiejskiej kawiarni i wydmuchuje dym w kierunku sufitu, czuje, że mogłaby być najbliższą przyjaciółką Cortazara. Mogłaby z nim pić matę, rozmawiać o Mondrianie, choć kompletnie nie interesują jej południowoamerykańskie junty wojskowe. Ale przecież Cortazar nie żyje, choć czuje jego namacalną bliskość, gdy w ogarniętym wiosną parku czyta "Grę w klasy", a jesiennym wieczorem, pólżąc, pólśiedząc na tapczanie, z podciągniętymi pod brodę kolanami, zagłębia się w "Książkę dla Manuela". Słucha Serge'a Gainsbur-ge'a, bo przecież Nick Cave zupełnie jakoś nie przystaje do lektury Cortazara. Trochę żałuje, że nie przyszło jej tak wspaniale rozkwitać ciałem i umysłem w schyłkowych latach sześćdziesiątych. Były takie intelektualne. Jej trafiły się późne lata osiemdziesiąte, wie, że mogła trafić gorzej. Chce pojechać do Paryża, ma gładkie ciało, mogłaby pozować do trochę wyuzdanych fotografii, mogłaby być nawet muzą saksofonistów grających na stacjach metra, niedomytych malarzy albo obiecujących aktorów, umierających jeden po drugim na schorzenia cywilizacji. Włóczyć się całymi dniami po mieście, nocą wyruszać na niezwykle eskapady, żywić się bagietkami i winem, chadzać na Pere-Lachaise i do wszystkich możliwych muzeów. Nie bać się trypra, który tak prześladował bohaterów Millera. Bać się co najwyżej własnego umysłu, że może nie ogarnąć wszystkiego, co tak pięknie podaje na tacy świat, i trzeba tylko odwagi, by brać. Na razie w zaduchu akademików, oparta o ścianę, popija białe wino z plastikowego kubka. Z łaskawym przyzwoleniem przyjmuje podawany jej przez nie do końca trzeźwego przyjaciela ogień. Pięć minut później stanowczym ruchem odsuwa jego rękę. Są przecież tylko przyjaciółmi. Od niedzielnego kina, wspólnego biletu na podmiejską kolejkę, rozmowy telefonicznej, po tym jak radio podaje wiadomość o śmierci w ekskluzywnej klinice kolejnego dobrze zapowiadającego się filmowca. W tym czasie podstarzały urzędnik państwowy niższego szczebla przerzuca kartki pomiętych pism pornograficznych, może, popijając wodę mineralną ze świętego źródła, ogląda w telewizji ważny mecz eliminacyjny, odgradza się od wieczornego sierpniowego powietrza potrójną zaporą szyby, firanki i zasłony. Myśli o byłej żonie, o nieżyjącej od kilkunastu miesięcy córce, o niedoszłej kochance sprzed dwudziestu lat, o przyjaciołu z wojska, który wyjechał na inny kontynent i jest teraz podobno nieprawdopodobnym bogaczem. Jemu zostały tylko wody lecznicze i cotygodniowe losowanie toto-lotka. Piętnaście przystanków stąd w kwadratowym pokoju dym papierosowy miesza się z muzyką i zaczyna szczypać w oczy. Trzeba jakoś przetrwać te trzy godziny do pierwszego autobusu, zachować kontrolę, nie skusić się na nieudolną namiastkę filmowego romansu. Zostały tylko dwie butelki wina do spłukania przepalonego gardła. Przyjaciel poszedł szukać nieśmiałej dziewczyny z sąsiedniego pokoju. Pewnie niebawem wróci, wściekły, bardziej pijany. W jego głowie powstanie nieudolny wiersz, a może tylko szatański pomysł, którego nigdy nie wprowadzi w życie.

Studentka filozofii wyciąga z górnej półki opatrzony datą sprzed dwudziestu lat miesięcznik poświęcony architekturze. Kilka kolorowych rycin, równe kolumny zwartej treści, trzy fotografie, jakieś dwuosobowe pojazdy kosmiczne harujące między palami, na których stoją przyszłościowe wysokościorowcy. Też dziwnym zbiegiem okoliczności sierpień. Młody architekt w kraciastej koszuli rysuje dom swoich marzeń. Piętrowy sześciokąt, kaskada orzeźwiającej wody spadającej na rozgrzaną głowę szczupłego nastolatka, dużo zieleni, karłowate drzewa, zapadający powoli zmrok, cienkie firanki odgradzające od atmosfery niedawno skolonizowanej planety. Młoda kobieta zdejmuje swój błyszczący kombinezon, podnosi szklanekę z syntetycznym napojem, jej atomowy skuter przycupnięty między krzewami układa się do snu, słychać stłumioną muzykę. Tak świeże jak nigdy dotąd powietrze wypełnia kilkadziesiąt metrów kwadratowych doskonale skomponowanej przestrzeni. Pneumatyczna poczta przysyła wciąż kolejne listy miłosne od zagubionych we wszechświecie wielbicieli. Ona wie, że jest tylko projekcją chorego architekta, spokojna i dobrze wykształcona patrzy przez ogromne okno na plastikowy trawnik, nie rozdeptany jeszcze przez przypadkowych przechodniów. Niewielki wodospad szumi tuż koło jej rozrzuconych włosów - jest późny wieczór, na pewno nikt nie zadzwoni, trzeba będzie spróbować zasnąć. Gładkie szkło błękitnieje i szarzeje na przemian. Wszystko jest takie czyste i doskonałe. Za dwadzieścia lat architekt umrze śmiercią nienaturalną, mówiąc o swoich projektach, że były nietrafione.

Studentka filozofii odkłada pismo i sięga po kolejnego papierosa. Niedługo zaczną jeździć dzienne autobusy. Pół godziny powrotnej drogi, zmrużenie oczu w nagle ostrym świetle, niesmak w ustach, ssanie na dnie żołądka, kilka stopni, brzęk kluczy, przedpokój, jeszcze trzy, cztery kroki, łóżko.

4.

KSIĄŻKA Z POPULARNEJ SERII "LITERATURA FAKTU - NIE WYJAŚNIONE ZBRODNIE"

Dziwny upał. Powietrze stoi jak wylakierowane. Wszystko takie nienaturalnie suche. Jest rok 1961. Kwadratowe pudła tramwajów ze zgrzytem pokonują główne skrzyżowanie nie istniejącego miasta. Siedzę na brzegu kamiennego klombu, mrużę oczy, słońce kłuje mnie w głowę, mam drewniane gardło i jeszcze ponad dwie godziny, w ciągu których nic nie mogę zrobić. Zresztą, co można zrobić, jeżeli się nie istnieje. Przecież urodzę się jako pierwsze dziecko jednej z trzech siostr dopiero za siedem lat, a te wieżowce obok zaczną budować, gdy będę nastolatkiem. Kiedy wczesnym latem trzydzieści dwa lata później nie będę mógł znaleźć drogi do domu, ten człowiek przechodzący obok mnie będzie już od lat martwy. Umrze na serce, nim doczeka się awansu w swym nudnym biurze. Dość powszechna przypadłość. Na razie jest jednak rok 1961 i mężczyzna, przyciskając do piersi teczkę z nieważnymi papierami i drugim śniadaniem, nerwowo przebiega przez ulicę. Wstaję z klombu i rozglądam się po ulicy. Gdy trzydzieści dwa lata później będę tędy przechodził, nie będzie już takich starych autobusów ani kwadratowych tramwajów. Choć na pewno będzie ten dom po drugiej stronie skrzyżowania, jednak zmieniony, przemalowany i rozkolorowany reklamami. Tam, gdzie teraz stoją nagrzane słońcem rudery, powstanie hotel, w którym na comiesięcznych pokazach mody najpiękniejsze kobiety miasta oraz te przyjezdne z podwyższenia wybiegu zaczną rozdawać na prawo i lewo tajemne znaki, a całe sztaby deszyfrantów będą wśród dymu, z poluzowanymi krawatami i podwiniętymi rękawami starały się przewidzieć kolejny krok mordercy,

o którym mówi cały kraj. Następnego dnia nad ranem patrol znajdzie w krzakach nad rzeką zmasakrowane ciało nowej ofiary. Wielkie tytuły i niewyraźne zdjęcia z miejsca zbrodni rozsądzą popołudniowe wydania gazet. Strach padnie na miasto

bezwładem swego ciężaru i wszystkie dotąd wolne miejsca zapełnią się podnieconymi głosami i zeznaniami kłamliwych świadków. Społeczeństwo zacznie domagać się bardziej energicznego działania organów ścigania, powoła się do życia specjalną grupę, która, pijąc hektolitry kawy, będzie przecierała oczy o czwartej nad ranem, gdy morderca cicho otworzy drzwi od swego domu, wracając z kolejnej udanej akcji. Gwałtowne telefony od kilku wpływowych osobistości spowodują, że po lecą głowy. Trzeba coś z tym zrobić, ludzie się boją. Poza tym ten upał doprowadza wszystkich do szaleństwa. Od tygodni ani kropli deszczu, można umrzeć, powie bardzo ważna osobistość, odkładając słuchawkę i nalewając sobie wody sodowej.

Tymczasem w zatłoczonym tramwaju przecinającym skrzyżowanie stojący przy drzwiach morderca wyjmie z teczki gazetę

i pobieżnie przeglądając wielki artykuł o swoich wyczynach, skupi się na kolumnie sportowej. Wsiądzie na przystanku i przyciskając teczkę do piersi, nerwowo przebiegnie przez ulicę. Przejdzie obok mnie siedzącego na klombie i zastanawiającego się, skąd znam to nie istniejące miasto.

W tym samym czasie dowódca grupy specjalnej rozluźnia krawat i wielką chustą w kratę ociera spocone czoło. Niech to szlag, z tym upałem, mówi, sięgając po wodę mineralną. Żadnych motywów, żadnych podejrzanych, dokładnie spenetrowane całe środowisko przestępcze. Ciekawe, gdzie teraz uderzy, myśli, zapalając papierosa, gdy właśnie morderca przechodzi pod jego oknem, poprawiając przerzedzone włosy.

Chodzę wokół klombu i bezradnie rozglądam się wkoło, nie bardzo wiedząc, jak się stąd wydostać, a przede wszystkim jak przeskoczyć te trzydzieści dwa lata, albo przynajmniej siedem, do urodzin. Za dwie godziny powinien odjechać mój pociąg do niedalekiego, brudnego i może choć trochę mokrego miasta.

W przedziale obok siedzi morderca, usiłując ukryć rozbiegany wzrok, patrzy przez okno i aby się uspokoić, liczy drzewa i słupy telegraficzne. Wychodzę na korytarz, zapalam papierosa, kiedy to wszystko się skończy, myślę, widząc mijające pociąg stare modele samochodów, które za trzydzieści dwa lata będą tylko eksponatami muzealnymi bądź obiektem miłosnych uniesień hobbystów. Na stacji docelowej morderca wysiada, przez chwilę widzę jego źle skrojony garnitur. Musi szybko załatwić wszystkie sprawy, to przecież podróż służbowa, trzeba podbić delegację, pociąg powrotny za kilka godzin. Wkrótce na biurku szefa specgrupy wyląduje pilny meldunek, że w niezbyt odległym mieście znaleziono kolejne w makabryczny sposób okaleczone zwłoki. Niedługo później seria okrutnych zbrodni urwie się jak gdyby nigdy nic. Zbrodniarz pozostanie nieznan, a jego tajemnica nigdy nie wyjaśniona. Akta zamknięte w szafie pancерnej, zostaną tylko domysły dziennikarzy. Zresztą wkrótce skończy się lato i pojawi tak bardzo upragniony deszcz.

5.

PLAN MIASTA

Przede wszystkim zapamiętać krój ulic, z której strony kładzie się cień, jak orzeźwia chłód bramy, dokładnie i w odpowiedniej chwili usłyszeć stukot tramwaju skręcającego pod wiaduktem. I usłyszeć wysoki dźwięk dzwonka nad otwierającymi się drzwiami ciasnego sklepu oferującego ostre przyprawy, suszone kiełbasy i wcale nie stare wina w tajemniczo zielonych, nie omszałych, lecz po prostu zakurzonych butelkach. Wyraźnie poczuć ciężki zapach starych, obrośniętych pleśnią kamienic, zarejestrować pseudobauhausowską strukturę uderzającą białej willi w cichej dzielnicy, słynącej z tego, że po jej uliczkach wolno i dostojnie poruszają się samochody, które w innych dzielnicach dzierżą prym wśród piratów

drogowych. Pamiętać wieczory nawracające dokładnie według opracowanych wiele lat temu reguł. Wiedzieć, że niezmienna jest, mimo historycznych zawieruch, ilość kostek w bruku tych ulic. Czuć smak przesłodzonego soku winogronowego, tytoniowych inicjacji, rowerowych eskapad w inne wymiary sąsiedniej dzielnicy, gdzie po szerokich ulicach chodzili zmutowani żywi, choć martwi, z wielkimi oczami, kołysząc bezwładnymi głowami na chwiejnych kadłubach nadzianych na szcudlaste nogi. Widzieć bistro z odrapanym szyldem na rogu, na którym spotykają się trolejbusy jadące w kierunku zoo i tramwaj łączący przedmieścia z dworcem kolejowym. Wciągnąć głęboko w nozdrza zapach parzonej kawy, papierosów, kwaśnego potu.

Dwie piękne siostry o dużych, czarnych, mokrych oczach jeszcze nie są grube i nie mają mężów, którym maszyny urwały po kilka palców u rąk. Nie boli ich jeszcze przeciążony dźwiganiem dodatkowych kilogramów kręgosłup. Ich koleżanka z sąsiedniej ulicy jeszcze nie uciekła z tego miasta. Wszyscy jeszcze żyją i nic nie zapowiada, że miałyby się to kiedykolwiek zmienić.

Konieczność zapamiętać najdogodniejsze połączenia komunikacyjne i godziny zamknięcia kawiarni w centrum, zapisać gdzieś, żeby nie zapomnieć, o której godzinie odchodzi ostatnie metro. Gdzie można zrobić duże zakupy za najmniejsze pieniądze, gdzie można dostać z automatu opakowaną w błyszczący papierek serię najmniejszych wrzuseń z kolorową kalkomanią jako bonusem.

Wiatr przypisany tym dniom jest zaskakujący w swych zwrotach, schizofreniczny. Słońce przygrzewa miło w plecy, później ucieka gdzieś między drzewami za te wysokie, szare bloki. Wiatr się wzmaga, wiatr opada. Niepokojący, wyrafinowanie spokojny. Dojrzałe mirabelki spadają na alejkę. Skończył się czas, gdy była pod okupacją ślimaków. Podobnie jak to się stanie z mirabelkami, przynajmniej połowa z nich została rozdeptana.

W środku jest jądro. Z niego rozchodzą się promienie. Na północy jest Terra Incognita. Ponoć na jej końcu rozlewa się aż po nieskończoność ogromny, czarny, gęsty ocean, w którym pływają się, pomrukując groźnie, Morskie Potwory. Na południu ziemia się marszczy i wydostają się z niej z sykiem złe wody. Żyją tam gnomy, trolle, strzygi, harpie i wampiry. Na wschód i na zachód rozpościerają się nieprzebyte knieje i puszcze. Zapewne można się tam natknąć na wściekłych zbójców i dziką zwierzynę. Wszędzie jest zatrzesienie owadów, z których wiele jest jadowitych. Tutaj w mieście za to są domy. Niektóre z nich chylą się ku upadkowi.

Trzeba dokładnie zapamiętać to miasto, z najdrobniejszymi szczegółami - wymiary ulic, kubaturę kamienic i bloków na peryferyjnych osiedlach. Trasy autobusów i tramwajów, najdogodniejsze przystanki przesiadkowe, stacje metra. Trzeba zapamiętać kawiarnie, piwiarnie, winiarnie i ciastkarnie. Zapisać w pamięci skrzyżowania ulic, wiedzieć, gdzie trzeba skręcić, w którą przecznicę wejść jak w mokrą kobietę - spokojnie, delikatnie, namiętnie. Przy którym z placów usiąść i zacząć od niechcenia palić papierosa, gryźć gorącą kolbę gotowanej kukurydzy, karmić gołębie, obserwować przechodniów, ulicznych sprzedawców słodyczy i pamiętek. Zakreślać kręgi, określać nimi miasto.

Pamiętać, że na zewnątrz są trujące bagna, a tylko w środku jest bezpiecznie. Można tu dostać naleśniki z makiem, orzechami, polaną gęstą, pachnącą czekoladą, można wbić zęby w świeżo upieczonego kurczaka, którego tłuszcz spływa po brodzie, ciepły, ostry, leniwy. Byleby tylko zapamiętać drogę powrotną.

6.

MUZEUM MASZYN ROLNICZYCH W MEZOKÓVESD

Niski, gruby mężczyzna o ciemnej karnacji i z ostrą szczotką czarnych wąsów, żywo gestykułując krótkimi rękami i szybko mówiąc, tłumaczy z zapalem zasady działania

osiemdziesięcioletniej młockarni i silnika na ropę wielkości czołgu, wprawiającego w ruch jakąś dziwną maszynę, której przeznaczenia nie udaje nam się odkryć. Bardziej interesujące wydają się z początku stare traktory, stojące pod dachem chroniącym je przed deszczem. Jak zapewnia nas przewodnik, wszystkie są w świetnym stanie technicznym i jeżdżą jak za swych najlepszych lat. Jakby chcąc nam udowodnić dogmatyczność tej prawdy, uruchamia po kolei wszystkie ogromne żelazne monstra i przez chwilę wydaje nam się, że to wszystko zaraz ruszy do wielkiej szarży przez uśpione letnim upałem miasteczko.

Chodząc za przewodnikiem w zdyscyplinowanym stadzie, myślimy o nadchodzącej porze obiadu. Rozglądamy się, trochę znudzeni upałem i entuzjazmem mężczyzny, obserwujemy nie zapowiadające deszczu niebo. Z turystycznego obowiązku bardziej niż z ciekawości odczytujemy inskrypcje na żeliwnych zwierzętach. Na maszynie do zgniatania lnu znajdujemy wypalone jak na krowim boku niezbyt równymi literami nazwisko Lazar Janos i rok 1910. To samo nazwisko, lecz z datą o kilka lat późniejszą, odkrywamy na innej maszynie, z której po uruchomieniu wprawną ręką przewodnika wydobywa się przez mały kominiek biały dym i ktoś z uśmiechem mówi "Habemus Papam", ale my już myślimy tylko o Lazarze Janosu, który znów nam się objawia przy okazji podziwiania wielkiego dieslowskiego silnika o zaskakująco niewielkiej mocy 25 koni mechanicznych. Mężczyzna mówi, że poświęcił całe swoje życie na kolekcjonowanie starych maszyn rolniczych, ale nie dość, że brak już pieniędzy, to i sił nie starcza, choć przecież zapału ma za cały pułk huzarów, więc, jak zapewnia, z bólem serca musiał zgodzić się na przejęcie swego, początkowo prywatnego, muzeum przez resort muzealnictwa, który płaci mu obecnie śmiesznie małą pensję. I w taki oto sposób nasz przewodnik wypadł ze światowej elity prywatnych kolekcjonerów, zbierających z religijną wręcz żarliwością śmieci historii, organiczne resztki mijającego świata.

Co jednak stało się z Lazarem, mistrzem sztuki tworzenia dziwnych maszyn, którego największa aktywność twórcza przypadła na pierwsze dwa dziesięciolecia tego wieku? Czy zestarzał się sklerotycznie lub popadł na przykład w przykrą dla otoczenia manię prześladowczą? A może zginął z przerażającym krzykiem, zmielony przez jedną ze swoich maszyn, lub urwało mu rękę, gdy usiłował, klęcząc pod nosem, naprawić młockarnię? Ile lat miał w 1910 roku, czy nad wesołą kompanię w karczmie przedkładał projektowanie maszyn, które nigdy nie powstały? Czy kiedykolwiek pojechał do Budapesztu i zobaczył podziemną kolej wprawiającą w zachwyty mieszkańców miasta i przyjezdnych? Czy całe swoje życie spędził w Mezókóvesd, miasteczku bez usprawiedliwienia? Czy był katolikiem, wiernym sługą Rzymu, czy też wyznawał naukę Lutera? Czy uważał się za lojalnego poddanego Cesarza Austrii i Króla Węgier, czy też życzył mu rychłej, a najlepiej paskudnej śmierci? I czy miał syna, który, dajmy na to, w 1916 stracił nogę i skonał w którymś z okopów wielkiej europejskiej młocki, przy której to, co potrafiła maszyna Lazara, okazało się takie żałośnie nieudolne?

7.

ZABIĆ CZAS

Kierowca żółtego autobusu zza szyby szoferki podniesieniem ręki odpowiada na mechaniczne pozdrowienie przechodzącego drogą roznosiciela gazet. Znają się, choć raczej nie rozmawiają, bo niby o czym mieliby prowadzić dysputy, nie o pogodzie przecież, tutejsza jest po prostu solidną realizacją podpisanego dawno temu meteorologicznego kontraktu. W okolicy też nic godnego większej uwagi się nie dzieje, a i świat, ze swoimi telewizyjnymi sensacjami, już raczej bardziej nudzi niż przeraża. Od piętnastu lat bez emocji pokonują tę samą trasę. Ten pierwszy w łączącym okoliczne miasteczka autobusie starego typu, odjeżdżającym zawsze o ściśle określonych porach, znający wszystkich swoich pasażerów.

Niektórzy z nich też go pozdrawiają, lecz raczej nie prowadzą po drodze konwersacji, tylko siedzą spokojnie na burgundowej barwy skajowych siedzeniach i patrzą bez cienia emocji przez szyby na dobrze znane krajobrazy. Nie zagadują, bo po pierwsze, nie powinno się przeszkadzać kierowcy w jego odpowiedzialnej pracy, w dodatku reguluje to odnośna tabliczka z napisem, a po drugie, o czym tu rozmawiać, skoro po prawdzie od lat nic się nie dzieje. Roz-nosiciel gazet pokonuje swoją trasę pieszo, wytrenowanym, rytmicznym, by zbyt nie męczył, krokiem. Doskonale go opracował, mimo pokonywanych kilometrów nie odczuwa bólu, choć jego małą obsesją jest ostatnio możliwość nabawienia się żylaków. Poza tym przyzwyczał się. Mechanicznie wyjmując z torby gazetę i wsuwając ją w przegródkę w drzwiach. Przechodząc na drugą stronę ulicy, automatycznie podnosi rękę, pozdrawiając kierowcę hałaśliwej śmieciarki.

Brzydka kobieta karmi szynszyle, jakby z obowiązku głaszcze je po futrzanych karczkach wskazującym palcem prawej ręki, potem sypie im nowe trociny. Mężczyzna, który jest jej mężem, a wygląda na psychopatycznego mordercę ćwiartującego ciała swych ofiar, przygląda się temu beznamiętnym wzrokiem. Trudno powiedzieć, jaki jest jego stosunek do szynszyli i co w tej chwili myśli o swojej żonie. Załóżmy jednak, że naprawdę kocha swoje dzieci, mimo iż czasami swoim zachowaniem doprowadzają go na skraj dzikiej furii. Powstrzymuje się jednak, gdy chce się wyładować, idzie do komórki za garażem, w której trzyma narzędzia, i wtedy dochodzą stamtąd straszne odgłosy, a żona, dzieci i teściowa nawet przez chwilę nie poddają się myśli, aby mu przeszkodzić. Pod koniec tygodnia, w piątek lub sobotę, umawiają się ze znajomymi na wieczór. Kobiety rozmawiają ze sobą, a mężczyźni ze sobą. Piją piwo i przyrządzają skręty, które później palą bez wyraźnej przyjemności. W każdą niedzielę idą do jego rodziców.

Za oknem powoli robi się ciemno, choć to przecież jeszcze nie wieczór. Niepokojąco wzmaga się wiatr i zanoszą deszcz. Rowerzysta spogląda z obawą w niebo, mocniej naciska na pedały. Po lewej stronie drogi rozpościerają się pola warzyw i kwiatów, po prawej szeroką rzeką wylewa się aż po horyzont zboże. Prosta droga jak do zamku, oczywiście wzdłuż niej stoją w rzędzie drzewa, zwęża się perspektywa.

Pod zwodzonym mostem dostojnie przepływa pomarańczowa pogłębiarka.

Kierujący nią mężczyzna w drelichowym kombinezonie wychyla się z niewielkiej budki i podnosi do góry prawą rękę. Taki sam gest wykonuje siedzący w swojej niewielkiej budce zawiadujący mostem. Pogłębiarka płynie szerokim kanałem, wzdłuż którego pod wielkimi czarnymi parasolami uparcie siedzą fanatyczni wędkarze. Jak w każdy wolny dzień, od zawsze. Dobra pogoda-na ryby, jest chłodno, pada rzadki deszcz. Jak dobrze pójdzie, będzie praca z preparowaniem rybich głów do kolekcji, może się jednak zdarzyć tak, że nie uda się niczego złowić, ale przecież to nie o to chodzi. Łowienie ryb to po prostu świetny sposób spędzania wolnego czasu.

Brzuchaty mężczyzna z cygarem w żółtych zębach wychodzi przed dom. Trzyma ręce na biodrach, patrzy w niebo wzrokiem zawodowego przepowiadacza pogody, później jego wzrok wbija się w idealnie gładki asfalt drogi. Z naprzeciwka jedzie samochód popularnej marki. Jak co dzień pokonuje trasę dwudziestu kilometrów tam i dwudziestu z powrotem. Jego kierowca mógłby prowadzić z zamkniętymi oczami. Zarówno drogę, jak i samochód zna równie dobrze jak swoją żonę. Przy niej też najchętniej nie otwierałby oczu. Teraz jedną ręką trzyma kierownicę, drugą wyjmując z paczki papierosa i zapala go samochodową zapalniczką. Lubi palić w samochodzie. Radio szumi i trzeszczy w szwach, nadając prognozę pogody dla tej części kraju. Będzie coraz gorzej.

Gruby, spocony mężczyzna w kraciastej koszuli zasnął na krześle, w jednej ręce wciąż trzymając paczkę bibulek, w drugiej torebkę z tytoniem. Wstał o piątej rano, żeby czyścić świeżo przywiezione z połowu śledzie. To spotkanie zaburzyło jego normalny, codzienny cykl. Godziny przeznaczone na odpoczynek ustąpiły tym zaanektowanym przez zabawę. Na

stole miska sałatki jarzynowej i taca pełna kanapek z serem i pastą rybną. Autobus zjeżdża do zajezdni. Kierowca wysiada, zabierając z szoferki czarną skrzynkę, w której, niczym zamknięte dusze pasażerów, brzęczą drobne monety, uzyskane ze sprzedaży biletów. Na moście nie ma już nikogo, ani niezdecydowanych samobójców, ani znudzonych przechodniów przystających przy barierce, żeby popatrzeć w wodę, splunąć i liczyć koła rozchodzące się na wszystkie strony.

Siedzę przed wielkim akwariem i uważnie przypatruję się dwóm rybom, czerwonej i czarnej, które płyną od lewej bocznej szyby do prawej, od prawej do lewej i od lewej do prawej.

8.

1899

Za chwilę wszystko wybuchnie. Wielkie kapelusze ustrojone w sztuczne kwiaty i owoce, bicykle z jednym monstrualnym kołem, a drugim groteskowo małym, wagony kolei żelaznej stojące na peronie dworca pod szklanym dachem. Pędzą automobile, pierwsze sterowce grzęzną w gęstej smole powietrza, balony z machającymi w gondolach wąsatymi mężczyznami w śmiesznych nakryciach głowy odrywają się od ziemi. Piękni, smukli dekadenci z zaawansowanymi chorobami i upadłe kobiety, rzeźnie kabaretów, długie przystanki w kawiarniach. Da-gerotypy cierpliwie zapisują krój ubrań, ciężką, prawie kamienną materię sukni, starannie modelowane męskie zarosty i damskie, misternie rzeźbione fryzury. Przez kadry przesuwają się konne tramwaje i powozy, szyldy na sklepach przesyłają konkretne i absurdalne zarazem komunikaty.

Francuscy żołnierze wciąż noszą czerwone spodnie. Nie ma Francji i nie ma francuskiej armii bez czerwonych spodni, mówią dowódcy. Za kilkanaście lat przez czerwone spodnie od serii karabinów maszynowych zginą setki tysięcy żołnierzy. Wielu, zanim umrze, będzie godzinami rzeźić i jęczeć, leżąc w błocie. Gdyby sępy tłumnie zamieszkiwały nizinne tereny Europy, można by to nazwać Wielkim Żarciem zamiast Wielką Wojną. Na razie jednak panuje dziwny, drgający spokój. Żniwo zbiera nie karabin maszynowy, ten cudowny wynalazek znudzonej ludzkości, ale syfilis i gruźlica. Mimo pozorów święta, radosnej zabawy, panuje jednak marazm i ośpienie. Nie rozkwitają jeszcze przecież tak krwiożerczo sekty religijne, które za sto lat wypełnią swymi przerażającymi pomysłami strony wysokonakładowych gazet, ciągle niedziela jest dniem przypisanym leczeniu ciężkiego katzenjammera i gwałtownym nawrotom drobnomieszczańskiej religijności. Co ciekawe, drobnomieszczenie, jak się okazuje, żyją głównie w wielkich metropoliach, do ich mieszkań wpada nieodmiennie gwar ulic, krzyki kamlotów, stukot kół na bruku, nieprzyjemne zapachy podwórka. W nieznanym mieszkańcom metropolii drobnych miasteczkach na prowincji dojrzewają za to neurasteniczni artyści. Czasami przyjeżdżają do dużego miasta, żeby zagnieździć się w suterenie lub na poddaszu, gdzie wypluwają z siebie krwawe tkanki. Kolej żelazna rozkwita, kiedyś będzie się o niej pisało książki, ale nie ma jeszcze podmiejskich pociągów do Otwocka, przez Międzyzlesie i Falenicę, nie ma jeszcze magnetofonu, bez którego nie ma świata, żadnego świata, poczynając od starożytności, przez duszne opary średniowiecza i pokryte grubą warstwą pudru rokoko. Bruno Schulz ma siedem lat, Kafka sześć, jeszcze nie wiedzą, że ich nazwiska tak chętnie kiedyś będzie się stawiać obok siebie. Nie ma jeszcze na świecie Marąeza, Carpentiera i Lezamy Limy, za to nie żyją już od milionów lat Safona i Villon, ich ciała zniknęły bez śladu. Właśnie rodzi się Borges, ten zgorzkniały staruch, Wielki Bibliotekarz. Tak, właśnie tu i teraz zbiegają się wszystkie linie czasu i przestrzeni, w tym punkcie zobaczyć można cały wszechświat i nawiązać dialog ze wszystkimi wcieleniami Beatriz.

Mnie nie ma w tym miejscu i o tym czasie, nigdy mnie w nim nie będzie. Na tej ulicy, gdy słyszeć stukot kopyt, powóz złowieszczo przetacza się po bruku i niknie za zakrętem.

Wszędzie nieprzenikniona mleczna mgła, ciągła wilgoć, która przebija się przez ubranie, boleśnie wkręca pod skórę, koroduje kości. Młoda służąca o gładkim ciele i rumianej cerze, trochę przestraszona, niepewnie wchodzi do przestronnego salonu, przed sobą niesie tacę, na niej dzbanek z herbatą i ciastka, gibki, smukły oficer, który nade wszystko ceni honor, za chwilę strzeli sobie w głowę. Najważniejsze to nie splamić munduru, uzna, i w tym momencie chlapnie krwią na szamerunek. Jego ciało okaże się zupełnie nieważne i wkrótce zniknie z pamięci, nie przechowując się nawet w legendzie regimentu. Nie ma powrotu, ucieczki, niemożliwa jest sprytna zamiana ról, nie ma podróży w czasie. To, co było, zostało zaksięgowane i potwierdzone niepodważalnym stemplem. Nie można niczego poprawić.

9.

PRZEMIJANIE

Dziadek to maszynista cesarsko-królewskich kolei żelaznych. Jego pozótkłe zdjęcie z nierówno wyząbkowanymi brzegami stoi w brązowej ramce na czarnej, potężnej komodzie. Zimna cebra Gyuli Krudy'ego w klasztorze na Margit-sziget. Zielone wzgórza Budy. Wino z wodą sodową w proporcjach pół na pół. Babka, zadbana kobieta pięćsetletnia, uważnie patrzy przez firankę na podwórko-studnię. Wewnętrzna klatka jest ciemna, zimna i zagrzybiała, na schodach słychać dokładnie wymierzone, powolne kroki. Przed bramą stoi autobus z odwołaniem jak u osy, ale szary, a nie czarno-żółty. Ulica wybrukowana śliską, szczególnie po nagłym, krótkim deszczu, kostką z połowy ubiegłego wieku ciągnie się przez kilkaset metrów, a potem nagle znika. Charakterystyczny zapach pleśni i gnijących liści rozchodzi się wokół niczym kuchenne zapachy w niedzielne południe. Tramwaje dokładnie takie same, żółte, sunące powoli wzdłuż rzeki, później wkluwające się w mięśnie i żyły miasta. Główna ulica ciągnie się jak asfaltowa guma do zucia od dworca kolei żelaznej do żelaznego mostu, łączącego brzeg płaski z brzegiem górzystym. Wąskie, kręte, strome uliczki, zwięzane parkującymi w połowie na jezdni, w połowie na krawężnikach samochodami. Dużo soczystej świeżej zieleni, w niej zanurzone domy o niskiej zabudowie. Małe, ciemne, przesiąknięte starym dymem papierosowym i nieświeżymi oddechami bistra, w których syczą złowrogo ekspresy do kawy, przez małe otwory dozowników ściekają krople brzoskwińowych, czereśniowych i orzechowych wódek. W ściany wrastają stare plakaty i wspomnienia triumfów reprezentacji piłkarskiej, w najniższych szufladach szerniałych komód rozsypują się wstydliwie dawne dyplomy, tracą kolory tapicerki foteli i kanap. Niewidoczne bakterie pożerają po kawałku kamienie średniowiecznych murów, fundamenty domów, wyjadają oczy nieuważnym przechodniom. Wesole miasteczko kipi śmiechem obok zapuszczonego i zapomnianego ogrodu zoologicznego z nie istniejącymi gatunkami zwierząt, dalej kąpielisko z leczniczą wodą dobrą na wszystkie opisane w podręcznikach medycznych schorzenia, naprzeciw nieprawdziwy zamek i płytki staw, po którym pływają spacerowe łódki. Trasa metra prowadzi w ciemne nieznane, ruchome schody zsuwają się w głąb ziemi, prowadzą do ukrytych cmentarzy, podziemnych dróg łączących nekropole starych i nowych światów. Kręte korytarze, niskie sklepienia, łuki, ciężki zapach ziemi. Pięćsetletnia babka spogląda przez przybrudzoną szybę kuchennego okna na podwórko-studnię. Zdejmuje parujący czajnik z kuchni, nalewa wrzątek do filiżanki. Woda podchodzi pod najwyższe okna.

10.

LEGENDARNA VESPA WIDZIANA NA JAKIMŚ STARYM FILMIE

Wszystko jest w tonacji żółto-czarnej. Wszystkie kształty i kształtów cienie, ruchome figury i elementy stałe. Oczywiście z pośrednimi odcieniami. Taka kolorystyka idealnie pasuje do tego filmu. On, trochę się popisując, podjeżdża z wprawą, efektem wielogodzinnych

treningów na odludziu, na legendarnym skuterze Vespa, rok produkcji nieznany, w każdym razie najprawdopodobniej wczesne lata sześćdziesiąte. W tym czasie wszyscy nosili okulary przeciwsłoneczne i z pozoru za duże garnitury. Właściwie, mimo że rhythm'n'blues i rock'n'roll zaczynały zyskiwać coraz większą popularność, to wciąż trwały jazzujące lata pięćdziesiąte. Skuter był pojazdem międzyplanetarnym. Takich Vesp jak ta już nie można spotkać, nawet na złomowiskach, na ulicach królują zupełnie inne modele, niekoniecznie skuterów, wyszły z mody także koszule, w jakie uparcie ubiera się ten mistrz podmiejskich rajdów po bocznych drogach. Chociaż przecież wszystko wraca, przede wszystkim moda, jak udowadniają to styliści i wielcy manipulatorzy gustami. Tak więc z pewnością przyjdzie jeszcze dobry czas na styl, którego ucieleśnieniem jest dosiadający Vespy młody mężczyzna. Na razie o tym nie wie. Dla niego istnieje tylko teraźniejszość zamknięta w obrazie letniego popołudnia w znudzonym mieście. Nie zastanawia się nad tym, czy moda przeminie, a jeśli tak, to czy kiedyś, i ewentualnie kiedy, wróci. Nie wpada mu do głowy myśl, że Vespa jest tylko chwilowym znakiem czasu, który właśnie mija, tak jak to nudne letnie popołudnie. Nikt też nie nosi takich sukienek, jak ona. Nic dziwnego, minęło trzydzieści lat. Sukienkę wraz z zawartością zeżarło ze smakiem robactwo. Nie ma też takich skuterów Vespa, choć zostało kilka luźnych garniturów i wszędzie mnóstwo okularów przeciwsłonecznych. Ale to tylko dygresja nie mająca wpływu na to, co się dzieje owego letniego, żółto-czarnego popołudnia trzydzieści lat wcześniej. Oboje wciąż stoją i wydaje się, że trudno im się zdecydować na jakiś konkretny ruch. Ona taka gładka na delikatnej twarzy, niewątpliwie piękna, podniecona, żywa. I on, mrużący szczypiące z niewyspania oczy, ze spoconymi dłońmi gładzącymi nerwowo kierownicę. Ostatnio się nie wysypia, bo do późna czyta. W szafie przechowuje jak w sejfie nowy nabytek, swoją zbroję - czarny sweter. Dwadzieścia lat później okaże się za mały na jego spuchnięte ciało. Za to będzie świetnie pasował na jego syna, któremu pozazdrości dziewiętnastoletnich studentek bałamuconych historiami przeczytanymi w nie napisanych książkach. A ten biorący je po pijanemu podczas nieobecności rodziców bądź w zagraconych pokojach akademików, ale przede wszystkim w rozgorączkowanej wyobraźni młodzieniec w czarnym swetrze będzie zazdrościł ojcu skutera Vespa, który zardzewiał do końca w jakiejś piwnicy albo spadł w przepaść wraz z przerażoną dziewczyną w sukience, będącej trzydzieści lat temu ostatnim krzykiem mody.

11.

GRY I ZABAWY PLAŻOWE

Upał jak w piecu, gęste, ciężkie powietrze przymilnie, lecz groźnie ociera się o skórę, małe glicerynowe krople zjeżdżają powolnym slalomem pomiędzy pniami włosów. Niezmienna i bezbrzeżnie nudna obrzędowość kraciastych koców, wielkich frotowych ręczników i pasiastych parawanów wkręcanych w piasek zaostrozonymi końcami drewnianych palików. Ciepły, brązowiejący, niewielki zagajnik pełen jest żmij miedzianek, uciekających szybko, gdy poczują zbliżające się kroki. Jak zawsze pewni siebie idziemy tyralierą, uzbrojeni w napoje chłodzące i kremy z filtrami, otaczamy się lipcowymi kolorami, odbijamy w przeciwsłonecznych okularach chmury, jakbyśmy odbijali w tańcu dziewczyny na szkolnej dyskotece.

Schodzimy powoli po stromych schodach. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby pod napięty naskórek skupienia wdarła się choć chwila nieuwagi. Nagłe potknięcie, beton pozostałych stopni czeka niewzruszenie, szkoda byłoby dokładnie wymytych zębów, kręgosłupów, puszek czaszkowych, więc lepiej trzymać się mocniej poręczy. Już dobrze, już spokojnie. Przeszło, zeszło, minęło, teraz wreszcie zapadamy się po szyje w gotującym się jak tłuszcz piasku, na nasze ocalone głowy sypie się grad obłych od piesszoty fal kamieni i muszli zbieranych przez małe, zwinne, tresowane dzieci i stateczne małżeństwa. Powolnymi

krokami, grzęznąć coraz bardziej, idziemy dalej, szukając wolnych przestrzeni do zawładnięcia. Zza ciemnych okularów czujnie obserwujemy innych hominidów, nie ruszając głowami, a jedynie operując szybkimi gałkami ocznymi zapisujemy w pamięci błyskotliwe spostrzeżenia. Nasze komputerowe mózgi krztuszą się liczbami, mnożą i dzielą centymetry obwodów klatek piersiowych lub długość nóg, zachwycają się wąskimi taliami, bujnymi włosami, pełnymi gracji ruchami, brzydzą się zbyt widocznym nadmiarem tkanki tłuszczowej, żenującą niezdarnością, brzydotą pełnych niedoskonałości ciał, szaleństwem kształtów i ilości brodawek, pryszczycy, czyraków, przebarwień i oparzeń. Zakładamy warowny obóz, z ulgą zrzucając z ramion ciężary koców i ręczników i wysypując z toreb pudełka i tubki z kremami, papiery, plastikowe butelki. Wznosząc okrzyki, wchodzimy w morze, bo przecież z niego wyszliśmy. Zagłębiamy się i wynurzamy, pojawiajemy się i znikamy w wodzie, raz widać nasze wydęte, prychające usta, a raz tylko pomarszczone stopy. Jesteśmy rozgotowanymi, miękkimi warzywami w przesolonym, wystygłym rosole. Uderzamy głowami o nadciągające ze złośliwym uporem fale, morze rzuca nami na wszystkie strony jak numerowanymi piłeczkami w maszynie losującej multi-lotka, przydeptuje do dna, szoruje naszymi ciałami po ławicach mięsożernych kamieni. Wydostajemy się z niego ostatkiem sił, wypływając wodorosty i kawałki drewna z zatopionych łodzi. Czołgamy się, wlokąc za sobą nieufne wobec reszty ciała nogi, w niezrozumiały dla nikogo sposób, nabrzmiali, z nienaturalnie rozszerzonymi oczami. Tuż nad nami kołują plastikowe samolociki. Usiłujemy powstać i przejść kilka kroków, co chwilę uderzając się boleśnie palcami stóp o wystające kamienie i porzucone puszkę po konserwach. Znow idziemy, powoli, ciężko, zgarbieni, choć z szeroko rozpostartymi ramionami, które zaczynamy wysuwać przed siebie, jakbyśmy prosili o suchy ręcznik lub coś do picia. Wzrasta w nas dziwna siła, choć ruchy wciąż mamy ciężkie i na pozór niepewne. Matki zasłaniają dzieciom oczy, a naturyści swoje genitalia. Inni szybko zwijają koce i parawany. Depczemy to, co pozostaje, dusimy sparaliżowanych strachem, dobijamy tych, którym nie udało się uciec. Można nas zabić tylko strzałem między oczy, wypełnieni wodą nie boimy się nawet ognia. Nasze szeregi powiększają się ciałami przekonanych, już wchodzimy na skarpe, niszczymy wydmy i rzadką, chronioną prawem roślinność. Z wyciągniętymi daleko przed siebie rękami idziemy ławą ku miastu.

12.

REMINISCENCJE

Tego lata ogródki działkowe pachną wyjątkowo intensywnie. W gorącym, drgającym powietrzu przedziwnie mieszają się zapachy kwiatów, ziemi, przejeżdżających tuż obok, rozgrzanych do czerwoności autobusów, ścian stojących nieopodal domów, a do nich dołączają inne - słodkie, lukrowane zapachy z pobliskiej cukierni, dziwny zapach sklepu pasmanteryjnego z punktem repasacji pończoch oraz ten ciężki, gnilny, ze sklepu z mięsem. Otumaniony zapachami płaczą się bezwładnie pomiędzy grządkami kwiatów, warzyw, garbatymi drzewami owocowymi i małymi, prowizorycznymi domkami, które wydzielają ze swych gruczołów woń drewna, roztopiającej się w upale farby i czarnej smolnej papy na dachu. Wreszcie, po długich poszukiwaniach, znajduję odpowiednią alejkę, która doprowadzi mnie do wyznaczonego celu. Biegnę w panice, bo już jestem spóźniony. Skracam sobie drogę przez betonowe boisko i okalającą je zwirową bieżnię. Przeciskam się z wysiłkiem przez małą dziurę w drucianej siatce. Aby nadrobić stracony na tej przeszkodzie czas, przyspieszam, prawie pod kątem prostym, nie tracąc jednak równowagi, skręcam z chodnika w dróżkę z udeptanej ziemi. Mijam, wcale nie wycieńczony, linię mety, za którą nie padam, choć na moment przystaję. Intensywny chłód kamienia w ciemnej klatce schodowej daje chwilową ulgę. Ale to jeszcze nie koniec. Zaraz minę skrzynki na listy i pojawią się strome schody.

Teraz wbiegam na czwarte piętro, bliżej gołębi. Chłodny duży pokój, sprytnie zakryty przed słońcem gęstymi koronami drzew rozpościerającymi się tuż za cienką szybą okna, miękkość zapadającego się pod naciskiem mojego ciała szerokiego, starego łóżka, fascynująca dostojność czarnego, ciężkiego telefonu. Później kuchnia - stół przykryty ceratowym obrusem w żółte kwiaty, ścienny kalendarz, także z kwiatami, i gęsta jak czerwona gorąca smoła zupa dyniowa, której nigdy więcej nie będę jadł. Zanim jeszcze zawartość ostatniej łyżki zdąży spłynąć do żołądka, ja już zbiegam po schodach, delikatnie, końcami palców lewej ręki gładząc poręcz i przeskakując po kilka stopni. Jest dopiero upalna połowa lat 70-tych. Nie myślę jeszcze o śmierci, chorobie, pieniądzach ani innych wymiarach świadomości. Nie atakują mnie natrętne marzenia o tym, by zostać strażakiem, żołnierzem czy podróżnikiem. Jest tylko to, czego w tym upale dotykam.

Zmęczony biegiem z brzuchem pełnym zupy dyniowej siadam na starej, zmurszałej ławce pośród gęstych krzewów, których nazwy nie znam. Wiem tylko, że to drzewo obok to wierzba, którą dorośli nazywają płaczącą. Jej długie witki oskubane z liści, smagające plecy kolegów i najładniejszych koleżanek z klasy powodują ich płacz. Z pobliskiej szkoły muzycznej dobiegają urywane, rozplywające się w powietrzu dźwięki trąbki. To moja szkoła, choć niechętnie chodzę na lekcje gry na wiolonczeli. Przeczuję jednak, że kiedyś nie będę potrafił się obejść bez muzyki. Wstaję i już spokojnym krokiem odchodzę, mimo że brak mi pomysłu, co ze sobą zrobić, zanim nadejdzie czas kolacji. Jak na razie wszystko jest lepsze niż letnie popołudnie w domu.

Wrócę tu. Pieszko, autobusem, prosto i drogą okrężną. Dziesięć lat później zdesperowany, choć przestraszony możliwością konsekwencji, ucieknę z lekcji w pobliskim liceum, żeby pić na tej ławce wino owocowe "Atut", smakujące słodkimi truskawkowymi landrynkami, przypominając sobie ośmioletnią pierwszą miłość o niespotykanym w tej okolicy nazwisku Tokaj. Gdy minie piętnaście lat od tamtego popołudnia, obudzę się nagle w mieszkaniu w jednym z pobliskich domów, w którym nigdy wcześniej nie byłem, a jednak przecież wyda mi się napastliwie znajome. Gdy z wysiłkiem wstanę i zaskoczony zorientuję się, że nie jestem sam, zapytam, kto tak pracowicie przez noc obił ściany boazerią. Ktoś się roześmieje. W brzuchu nie będę czuł nadmiaru zupy dyniowej, ale ssanie oznaczające pustkę. W łazience zimną wodą chlusnę na opuchniętą twarz, wypłuczę usta wymieszaną z ciepłą wodą pastą do zębów o mocnym miętowym smaku, poprawię wymięte ubranie, przyczesując dłońmi spodnie i zmarszczki na koszuli. Nie pożegnawszy się nawet, wyjdę z mieszkania wprost w świeży, rześki poranek. Będzie chłodno i trzeźwiąco. Klatka schodowa zintegruje się z otoczeniem. Nie poczuję nic prócz głodu i zmęczenia, choć ogródki działkowe nadal będą pachnieć tak intensywnie.

13.

WAKACJE, KTÓRYCH NIKT NIE UWIECZNIŁ NA PAMIĄTKOWYCH ZDJĘCIACH

Architektura obrzędowuje wszystko. Z prawej odstręczają-co regularne żółte sześciany, trzy okna poziomo, trzy wzdłuż, z lewej pod górę kilka niepewnych w swych bryłach, szpitalnie białych domów, dwu-, trzy-, czteropiętrowych, z uczepionymi ich kurczowo balkonami, szybami podzielonymi na 24 kwadraty, dachem jaskrawoczerwonym i wrastającym w niego tarasem z tropikalną roślinnością. Wyżej wielka czerwona budowla, stylizowana na średniowieczne zamczysko, ze stożkową wieżą zakończoną szpikulcem wbijającym się w ciepły budyń nieba. Stamtąd prowadzi wąskie przejście i długie korytarze z symetrycznie rozmieszczonymi naprzeciw siebie salami o nieprawdopodobnych wprost rozmiarach. Wyblakłe tkaniny, szerokie drewniane stoły do uprawiania miłości, na ścianach wiszą bezradnie reprodukcje obrazów marynistycznych i ryciny przedstawiające miasto i port z przełomu wieków.

Więc port. Duży, z gęstą, ciemną wodą. Ryby-mutanty ogryzają systematycznie dna statków rybackich, które od lat nie wychodzą w morze. Zardzewiałe, pokrzywione i powyginane, odarte z farby, odchodzącej wielkimi płatami już z własnej woli, bez niczyjej namowy. Śmierdzące smarami, olejami i potem marynarzy, którzy nie wrócili do swych grubych, wulgarnych żon, wybierając podmorską kopulację z przeżartymi popromiennymi chorobami syrenami. Ci, którzy wracają, serwują żelazny zestaw opowieści o morzach południowych, ogromnych głębinowych stworach, ośmiornicach-gigantach, oplatających największe nawet okręty swymi węzowymi ramionami i ciągnących je w dół, na zatracenie.

Kilka niewielkich jachtów przyklejonych do kei, dalej dwa w miarę nowoczesne trawlerzy i statek-przetwórnia, przerabiający na konserwy i mrożonki fantastyczne opowieści i zwykłe kłamstwa. Pomiędzy nimi wynurza się nagle bezpieczna łódź podwodna, z której kiosku wyłaniają się ślepi żołnierze z obandażowanymi głowami, podmorscy zombies, od lat torpedujący ten sam nieistniejący frachto-wiec, nasłuchujący detonacji bomb głębinowych, podkrada-jący się bezgłośnie pod pijane, rozśpiewane bazy wojskowe, przez peryskop podglądający roześmianych marynarzy obla-piających dziewczyny w kwiecistych sukienkach. Histe-rycznie zaplątują się w sieci, nie wpuszczające ich na tę za-bawę. Słyszą przez portowe megafony: wynocha stąd, bo was zbombardujemy, żebyśmy was tu więcej nie widzieli. Więc odpływają z cichymi przekleństwami, już do tego przyzwyczajeni, w końcu milcząco smutni, szukając innych portów, taranując bezwolne wraki i gwałcąc bez przekonania nie stawiających oporu topielców. Nie potrafią tak na-prawdę ostatecznie zatonać, osiąść na dnie, dać się pożreć rybom, pozbyć się resztek ciała, wyczyścić się do szkieletu, po dziesiątkach lat dać się odkryć przez batyskaf, poszukują-cy w tej okolicy śladów zaginionej cywilizacji.

Idę nabrzeżem, omijam kawałki metalu, których przeznaczenia nigdy nie poznam, przez niebieską bramę wychodzę z portu, mijam pomnik w kształcie kotwicy, wąską drogą pod-chodzę do białych domów, otwieram drzwi, depczę nie wytar-tymi butami dywan, zbliżam się do okna. Obejmuję jedną ręką szklankę, drugą wrzucam do niej lód, nalewam, włączam mu-zykę. Staję naprzeciw 24 kwadratów ze szkła, wpasowuję w nie swoją twarz. Piję i patrzę z wysokości na zaskakująco gładkie morze i prom, który wciąż nie może zniknąć z linii ho-ryzontu. Oto moja podróż sentymentalna. Po kilku latach, bez przyjaciół, którzy wyemigrowali z tego kraju lub udali się na emigrację wewnętrzną, swoje wakacyjne kochanki biorąc zażony. Nie chcą tutaj przyjeżdżać, wszędzie, tylko nie tu. Do niewielkiego miasteczka, które w zamierzeniach oszałałych in-żynierów, zachłyśniętych wizjami lokalnej mocarstwowości, i dzięki zwrotowi ku morzu miało być metropolią portową. Na ich deskach kreślarskich pojawiały się zrodzone wcześniej, w trakcie długich spacerów wzdłuż linii brzegowej i wieczorów spędzonych na dysputach, futurystyczno-romantyczne wizje. Oto jak na wewnętrznej stronie rozpostartej dłoni widać stutysięczniki, przepływające swobodnie i dostojnie pomiędzy ukwieconymi, modernistycznymi kawiarniami, z turystami popijającymi w cieniu rozpostartych parasoli mrożoną herbatę, z eterycznymi, wąskimi w kibiciach muzami marynistycznych poetów i malarzy, które umiejętnie kryją długie włosy pod szerokorondymi kapeluszami, a ich twarze mimo pełni lata emanu-ją anielską błądzą. Nie zrealizowane projekty osiedla por-towego dla marynarzy i ich rodzin. Do tych rodzin mieli wracać z zamorskich eskapad, przywożąc w prezencie dziwy, o ja-kich ich dzieci czytały w książkach, by skrócić sobie oczekiwa-nie na ojców, którzy na pełnym morzu zmagali się z burzącymi się żywiołami. Ale wizje się nie spełniły, pozostały nie zrealizo-wanymi projektami, podobnie jak wiele innych, często bar-dziej prawdopodobnych.

A słońce praży i praży, morze raczej spokojne, bo dlaczego miałoby się burzyć. Sprzedawcy pamiątek i akcesoriów plażowych zacierają ręce, spodziewając się w tym roku re-kordowych

obrotów. Podobnie właściciele pensjonatów i wesołego miasteczka, które cieszy się wręcz nieprawdopodobną popularnością.

14.

WIECZORNA PROJEKCJA Z TELEWIZYJNEGO CYKLU "NIEZNANE KINEMATOGRAFIE"

I oto szwedzki film rozkłada się przed nami niczym obrus na wielkim weselnym stole. Doprawdy, nie wiem, skąd to moje upodobanie do szwedzkich i fińskich filmów. Naprawdę nie znam przyczyn tej specyficznej fascynacji. Może dlatego, że jest w nich jakaś nieokreślona tęsknota, której się nie wstydzą. Jeśli chodzi o fińskie, to szczególnie w pamięci utkwił mi film, w którym kamera wiernie towarzyszyła grupie przyjaciół na towarzyskiej imprezie. Dużo, dużo wódki i coraz bardziej bełkotliwych rozmów o życiu, no bo o czym? Rutynowy seks w pokoju obok, wszyscy kompletnie pijani, właśnie trwają białe noce, a może to środek nocy polarnej. Każdy pretekst jest dobry.

A teraz film szwedzki. Jest rok 1914. Za chwilę zacznie się pierwsza wojna światowa, a tu, jakby nic - piknik. Świeże owoce w wiklinowym koszu, butelka wina, śmiech, przez łąkę biegnie młoda kobieta, oburącz przytrzymując długą suknię, szwedzki oficer pali fajkę, więc będzie ta wojna czy jej nie będzie. Och, czy ty musisz kochanie ciągle o tej wojnie, mówi ona, składając swą białą głowę na jego ramieniu. Przecież jestem żołnierzem, chodzi mi o to, czy do niej przystąpimy, mówi oficer i koniuszkami palców dotyka swych wąsów. Ależ kochanie, przecież mamy już XX wiek, a tobie się wydaje, że to jakieś średniowiecze, nie będzie żadnej wojny, przytul mnie mocno, proszę.

Jest właśnie rok 1914, owoce wyglądają wyjątkowo soczyście i świeżo, choć stare są zdjęcia, stare ubrania, a wszystko widać barwnie, lecz przez unoszącą się nad taflą jeziora leciutką mgiełkę. Ten świat już nie istnieje, nie ma co się oszukiwać, ci wszyscy ludzie nie żyją, a my nie poznamy ich prawdziwych imion. Może właśnie dlatego coś ciągnie mnie do tych filmów. Lubię myśleć: byli młodzi, kochali się, pili wino, gryźli soczyste owoce, wieczorami spotykali się w mansardach albo pracowniach fotograficznych. Na tym filmie wszyscy mieli gładkie ciała, teraz nie mają ich wcale. Przeszronne poddasze, przeszkłona cała duża ściana, za nią widać całe pole dachów, kominów, wszystko świeżo zaśnieżone. A więc minęło trochę czasu od tego pikniku, przebrzmiał koniec lata i przeskoczyła poza ekranem jesień, wreszcie, oczekiwana niecierpliwie przez całą ekipę filmową, nadeszła zima. Niebo jest takie wyraźne jak tylko w zimie, jak tylko na tym filmie. I oto ich widzimy, znów piją wino, a później robią jakieś nieprzystojne rzeczy. Dobrze, że ten film pokazywany jest późnym wieczorem, nie każdy lubi oglądać kopulujące trupy. Jest zimowa noc, dym z komina, na którym koncentruje się kamera, ma zapewne symbolizować niepowstrzymane przemijanie czasu. Powiedzieć, że każda chwila zbliża nas do śmierci, to już naprawdę przejaw złego smaku.

15.

BOSSA NOVA

Pokój jest duży, trochę zaniedbany, choć warstwy kurzu nie da się nigdzie stwierdzić - ani na książkach, ani na kasetach wideo z kreskówkami, liście roślin doniczkowych też są od niego wolne. Panuje tu jednak jakiś ponadczasowy bałagan, symboliczny chaos, nieusuwalny nieporządek, przejawiający się w niezrozumiałej pozycji poduszki na kanapie, niestarannie ułożonym stosie kolorowych czasopism, pozostawionych na stole brudnych szklankach z odciskami ust na brzegach, podręcznym słowniku holendersko-angielskim, leżącym w dziwnej pozycji, jak wykręcone ciało ofiary brutalnego mordu, w nieuważnie porzuconych

widokówkach. To nawet nie jest kwestia obecności w tym domu dziecka, czego dowodzą resztki marchwiowej papki na obiciu fotela, kilka plastikowych, żółto-czerwonych zabawek na podłodze pod oknem i naklejki na szafce przedstawiające zwierzęcych bohaterów disney-skich bajek, ale jakiejś dziwnej konieczności organizującej życie w tym domu. Może nie da się inaczej. Pokój jest jasny, co ważne. To zasługa dużego okna, błękitnej tapety i różowej tapicerki objijającej kanapę. Jest dużo zieleni, zarówno na parapecie, jak i poza nim, w przydomowym, ubogim pod względem różnorodności roślin i trochę zaniedbanym ogródku, z którego można wyjść z rowerem wprost na osiedlową ścieżkę. Nie brak zieleni także w całej okolicy. To też dobrze.

Jednak dyskretny zapach geranium powoli zaczyna drażnić. Zabijam go bezwzględnie dymem z papierosa. Pomaga. Dopalam, a niedopałek gaszę w okrągłej szklanej popielniczce. Obracam powoli monety, raz spoglądając na twarz awersu, by zaraz potem na rewersie ujrzyć potylicę, oglądam uważnie rysunki na banknotach, zapamiętuję numery serii. I oto teraz zmieniam perspektywę, porzucając kontemplację tego, co mam w rękę, usiłuję objąć widzeniem całą ulicę. Tramwaj przecina szybko linię mojego wzroku. Twoje jest to, co widzisz, mówi do mnie tekst piosenki. A więc muszę mieć bardzo mało, a jeśli przez chwilę napełnia mnie złudne poczucie przesytu, to zaraz potem znika. Teraz wszystko jakby umyka, bo niczego nie można mieć do końca za pierwszym razem. Może potrzebny jest jakiś, choćby naprawdę niewielki, wysiłek, przynajmniej intelektualny, bo o fizycznym nie ma mowy. Rozleniwienie posunęło się zbyt daleko. Niechętne ruchom ciało nie da się oszukać. Nie dalej jak wczoraj omamione gładkimi słowami pozwoliło się namówić na wycieczkę rowerową wzdłuż morskiego wybrzeża, dawało z siebie prawie wszystko, choć nie stroniło od częstych przestojów, napawając się powietrzem niosącym od strony wody sól. Teraz jednak chce innych rozkoszy. Zaraz musi zwyciężyć wielkiego stęka, pieczonego ziemniaka owiniętego w kosmiczny strój ze srebrnej folii i szklaną Tequila Sunrise. Za oknem bezdźwięcznie przepływa wycieczkowy statek "Annę Frank" firmy Lovers. Świat składa się z nazw i liczb. Postawione obok siebie tworzą konfigurację: 24 butelki Heinekena.

I muzea, dużo muzeów. Muzeum Van Gogha, Muzeum Seksu, Muzeum Marihuany. Zapach portu właśnie dokładnie taki, jaki powinien być. Wszystko jest dokładnie takie, jakie powinno być. Równe alejki, białe piętrowe szeregowe domki, duże, wyraźne numery na drzwiach, żeby goście się nie pomylili. Czysto, schludnie, spokojnie, tak bardzo zasiedziałe, choć wydaje się, że wszyscy są przyjezdni i za chwilę, gdy tylko skończy się Święto Rybaków, wrócą do domów, by wywoływać setki zdjęć wykonanych standardowymi, masowo produkowanymi aparatami.

W pewnym momencie kończy się droga. Za nią jest spokojne nic, więc nikt tam się nie zapuszcza. Jeśli nie ma drogi, to znaczy, że nie ma też potrzeby, aby tam się udawać. Płacenie podatków to glejt, list żelazny w obliczu śmierci. Enjoy your-self. To najważniejsze. Musisz być z siebie zadowolony, nie przejmować się, trzymać uśmiech. Masz problem? Zapal sobie. Metafizyka? Nie, u nas nie ma, ale może będą mieli w tym coffee-shopie na rogu, można tam kupić naprawdę wszystko. Teraz, kiedy to miasto oddaliło się aż do granic rozpaczy, wydaje mi się, że zauważam bezcelowość pewnych posunięć. Coraz wyraźniej i nieprzyjemniej smakuję głupotę zachowań, hipokryzję dyskusji, nieodpowiedzialność zbyt pochopnych deklaracji. Wszystko, co się powie lub napisze, ma, jak się okazuje, wartość nabazgranych pozdrowień na widokówce z wakacji. Brakuje mi teraz zapachu spalin, gorąca murów, tamtego tłumu na głównej ulicy, tamtych tramwajów. Tak naprawdę niczemu, co robię, nie mogę przypisać żadnego wytłumaczenia. Radosny hedonizm? Spektakularne samozatopienie przy dźwiękach okrętowej orkiestry? Tutaj nie ma żadnych szkodliwych rzeczy. Kim jesteś, skąd przybywasz - tych pytań się nie zadaje. Mówi się: daj ognia, która godzina, ile zarabiasz, fajna dupa, nie? Jakbyśmy wszyscy powstałi dopiero przed chwilą, z Wielkiego Wybuchu. Wszystko, co oczywiste, jest zarazem męczące. Odpowiadanie: nie, nie mam ognia, dochodzi

wpół do szóstej, mało, rzeczywiście niezła. To, że nikt nie chce poznać Wielkiej Tajemnicy, to jeszcze nic. Nikt nie chce jej stworzyć. Wszyscy tłumaczą się brakiem czasu, zapracowaniem. Choć telewizyjny program z cyklu "Bóg, seks, polityka" może wytłumaczyć wiele, a komedia slapstickowa rozbawić do łez, to niepewność skrada się jak wielka dżdżownica. Dni astronomiczne na przemian skracają się i wydłużają coraz bardziej. Nie, nie. Te miesiące nie przejdą do żadnej historii, nie zostanie najmniejszy ślad. Nieuchronnie zbliża się Wielkie Zmęczenie.

16.

"GIRLFRIEND IN A COMA" Z PŁYTY "STRANGWAYS HERE WE COME" THE SMITHS

Piękna, eteryczna, niczym wycięta z katalogu mody dziewczyna pracująca w galerii sztuki współczesnej ma zawodowo lakierowany uśmiech. Jest gładka, delikatna na pierwszy rzut oka, sterylnie czysta, okazuje się jednak, że naprawdę jest cyborgiem, kiedy oprowadza po wnętrzach bogatego kolekcjonera, zmysłowym głosem deklamując wyuczoną kwestię. Wchodzą kręconymi schodami na piętro. Oto obraz geniusza, który popełnił samobójstwo rok temu, tłumaczy beznamiętnie. To unikat, większość jego dzieł spaliła rodzina. Jest teraz bardzo modny i poszukiwany. Ponoć był opętany, zeznania tych, którzy go znali, wspominają o samookaleczeniach, ciągłych nocnych rozmowach z nieobecnymi. Proszę sobie wyobrazić, mówił, że urodził się w roku 1450. Co ciekawe, niektórzy w to wierzą. Wśród zwolenników takiej teorii wspominało się wręcz o reinkarnacji. Nie mówię tego, żeby wzmóc pańskie zainteresowanie, wszak biografia to jedno, a sztuka to drugie. Tutaj bezdyskusyjnie mamy do czynienia z prawdziwą sztuką. Jeżeli zapomnimy o tych wszystkich historiach, to i tak obiektywnie musimy zgodzić się z tym, że w tej chwili obcujemy z dziełem niebanalnym i z artystą zupełnie osobnym, nie poddającym się łatwym klasyfikacjom i niemożliwym do zaszufładowania.

Dziewczyna patrzy uważnie w oczy kolekcjonera. Zbliża się weekend, przydałoby się gdzieś wyjechać, myśli. Kolekcjoner nie chce niczego kupować, zupełnie nie interesuje go biografia geniusza, sądzi, że jest mocno naciągana, często słyszał takie życiorysy. Całkiem poważnie natomiast zastanawia się nad tym, czyby nie zaprosić dziewczyny na kolację. Później może trochę perwersji, ślini się w duchu, zjemy dobre śniadanie, zdążę jeszcze na przedpołudniowy samolot i jeśli nie będę zmęczony, to zagram w golfa ze znajomymi. Niech cię trafi szlag, skurwielu, mówi w duchu dziewczyna, odgadując myśli kolekcjonera. Ten zaś, jakby wyczuwając nieprzyjazne fluidy, wycofuje się, deklarując, że musi sprawę przemyśleć i odezwie się wkrótce. On wychodzi, ona zostaje.

Zbliża się cudowny weekend, chyba pierwszy od miesiący, przydałoby się wyjechać, myśli dziewczyna. Natarczywość tej myśli doprowadza ją prawie do szału. Zaraz zacznie ciąć nożem obrazy. Ma ewidentną nerwicę, powinna brać jakieś proszki na uspokojenie albo coś w tym stylu. Może dobre byłyby zielne napary, ćwiczenia oddechowe, medytacje, długie relaksujące spacer, świeże powietrze. Jeśli nie wyjadę, oszaleję i zrobię coś strasznego, uświadamia sobie.

Na zewnątrz mieszają się autobusy i taksówki, ktoś szybko przebiega przez jezdnię, goniony odgłosami klaksonów, kwaciarnia po drugiej stronie ulicy trzeszczy w szwach. Młodzież, jak codziennie o tej porze, zbiera się pod pomnikiem i przelicza wspólne pieniądze. Trzeba umieć tłumić w sobie ludzkie uczucia, przecież jestem cyborgiem, przypomina sobie dziewczyna. Na firmowym papierze pisze kilka oschłych zdań i wkłada go do koperty. Musi to wysłać jeszcze dzisiaj. Jestem perfekcyjna, potwierdza znaną sobie prawdę i kładzie kopertę na widocznym miejscu. Patrzy przez chwilę na któreś z płócien. Obrazy malują ludzie słabi. Tam znajdują ujście ich lęki. Wszystko bierze się z metafizycznej paranoi, ja jestem z aluminium

pokrytego skóropodobnym materiałem, mnie to nie może osiągnąć. Wszystko jest kompensacją: malowanie, pisanie, pieprzenie. Dlatego nie maluję, nie piszę i nie pieprzę się. Nie mogę być słaba.

Zbliża się cudowny weekend, trzeba gdzieś wyjechać, powraca natarczywa myśl. Naciska palcami napięte skronie. Jej syntetyczna skóra jest niezniszczalna, jej układy scalone są niezawodne, jej zamontowany w odpornej na wszystkie uszkodzenia mechaniczne czaszce komputer najnowszej generacji myśli najszybciej. Zbliża się cudowny weekend, przydałoby się gdzieś wyjechać, powtarza komunikat. Mam najlepiej zaprogramowany makijaż, paznokcie i fryzurę. Nie mogę się mylić. To tylko jakaś drobna awaria. Jutro pójde do serwisu, trzeba skasować niepotrzebne myśli, oczyścić pamięć ze śmieci, zresetować umysł. Autobusy i taksówki, hałaśliwa młodzież pod pomnikiem, uliczny handlarz kwiatami nadskakuje wszystkim napotkanym po drodze parom. Awantura w sklepie, nagły wybuch śmiechu rozładowuje napięcie, grupa turystów nie może podjąć decyzji, w którą stronę się udać. Bogaty kolekcjoner, uśmiechając się zachęcająco, siada w restauracji obok ze sprzedawczynią widokówek. Jestem pierwszy raz w tym mieście, mówi, jest piękne. Tak, ale jak się w nim nie mieszka, odpowiada sprzedawczyni widokówek i sięga po aperitif. Kolekcjoner wpatruje się z uwagą w kartę dań. Może zjemy coś specjalnego? Oczywiście, co pan tylko zechce, odpowiada ona. Może pani mi coś poleci, jakąś kulinarną niespodziankę? Nie jadam w tej restauracji, tutaj przychodzą raczej bogaci turyści. Ach, tak, sztucznie uśmiecha się kolekcjoner i przez chwilę nie wie, co zrobić z rękoma. Kelner kładzie przed nimi sztucce. Więc może zjemy i później pójdziemy gdzieś indziej. Czy zna pani jakieś interesujące miejsca w okolicy? Oczywiście, mówi sprzedawczyni widokówek. Tutaj jest mnóstwo interesujących miejsc.

Zbliża się cudowny weekend, pierwszy od dawna, przydałoby się gdzieś wyjechać, uporczywie powtarza piękna dziewczyna z galerii. Jej martwe oczy wpatrują się w drzwi wejściowe, ręce opadają z poręczy fotela. Ktoś wchodzi do galerii.

17.

"GOING DOWN" THE STONE ROSES

Staliśmy zdziwieni tym piątkowym wieczorem, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, który wariant zastosować. Spośród całej, na pozór bogatej, palety żaden nie wydawał się pasować do sytuacji. Jak to zazwyczaj bywa w takich momentach, zapalaliśmy nerwowo kolejne papierosy i napełnialiśmy czym się dało szklanki z cienkiego szkła, żeby dać zajęcie niespokojnym palcom i ustom, a rozedrganym myślom czas na uporządkowanie rozbitych szeregów. Gdy przeżykaliśmy napoje i wciągaliśmy dym, nie mogliśmy nic mówić. W tym czasie w rytm okrzyków dowódców na swoje miejsca już wracali, poprawiając ekwipunek, pikinierzy ripost i muszkietrzy aluzji, naciągali ciężki łuczniczy dowcipów, spinali konie jeźdźcy elokwencji. Alkohol w zaskakujących konfiguracjach, rozlewając się po wnętrzościach, dawał powoli oczekiwaną pewność, za której szerokimi plecami czaiła się przewidywalność. Wiadome stawały się gesty i układy słów, które zaraz miały nastąpić. Rozpieraliśmy się niewygodnie w białych, plastikowych, chwiejnych krzesłach pod wielkim ogrodowym parasolem. Tuż obok dostojnie przepływały pomiędzy drzewami ostatnie podmiejskie pociągi. Siadaliśmy na tych nie budzących zaufania krzesłach niepewnie, wszystko zrzucając na karb zmęczenia po całym tygodniu zbyt intensywnego życia w mieście. Z rutyną godną zawodowych morderców uśmiechaliśmy się i bez żadnego graficznego pomysłu wodziliśmy palcami po stole, nie rysując na nim kształtów ani nie kreśląc słów. Oparcia plastikowych foteli obejmowały nas z syntetyczną czułością, chłód już zaczynał dawać się we znaki. Ochota, by już tam nie być, pęczniała w przełykach i przeszkadzała napojom w drodze ku trzewiom, a słowom na wydostawanie się z wnętrzości.

Kilkanaście kilometrów od administracyjnych granic rozrastającego się w najbardziej zaskakujących kierunkach miasta, między plastikową czerwoną skrzynką z kostkami lodu i talerzami pełnymi zielono-żółto--czerwonych sałatek z oliwkami i czosnkiem, rozjeżdżaliśmy się we wszystkie strony prowadzące i tak w te same miejsca, obiecując sobie rychłe telefony i wspólnie spędzone kolejne wieczory, od których przecież, z czego świetnie zdawaliśmy sobie sprawę, jakoś trzeba będzie się wymigać. To będzie pole do popisów - jak wykpić się od zobowiązań, ominąć wyznaczone miejsca spotkań, umknąć w trakcie sztucznego zamieszania. Ratowała nas świadomość, że miasto, które zmienia się zgodnie z dyrektywami kolejnych jego architektów, nie da się poznać i nagle nas zachwyci. Że zmyli tropy, zmieni układ i szerokość ulic, popłącze linie komunikacyjne. Tymczasem zamiast nowych domów stawały tekturowe ich podobizny, które, początkowo błyszcząco-paste-lowe, na skutek deszczu i zanieczyszczeń bladeły, szarzały i brzydły, tak że zastępowano je nowymi, zupełnie innymi. Całość przypominała gigantyczną atrapę niczym nadmuchiwane czołgi i samoloty wielkiej armii inwazyjnej. Mnożyliśmy w myślach minuty przez godziny, a dni przez tygodnie, pod sklepieniem misternie rzeźbionej bramy przejeżdżały kolejne samochody, wywożące niczym ciężarówki gruz, ból głowy i drapiącą suchość w gardle, które doskwierały uciekinierom. Kobiety zdradzały nas z szybkością pościgowych samolotów myśliwskich, a my, zestrzeleni nad nieznaną ziemią, umieraliśmy jeden po drugim, przyjmując to z biernym zrozumieniem. Lecieliśmy w dół, obracając się coraz szybciej wokół własnych osi. Goniły nas myśli o zupełnie innych domach, większych jeszcze niż ten, i ogrodach mnogich od zapadni, labiryntów i tajemnych przejść. Z ustami pełnymi powietrza lub sałatek, z wysiłkiem wymawialiśmy obco

brzmiające rzeczowniki, czasowniki i przymiotniki, wyteżając pamięć w poszukiwaniu skomplikowanych form gramatycznych, gubiliśmy orzeczenia, a podmioty same uciekały, zanim zdążyliśmy je zamknąć kłódką kropki lub kończącego zdanie niczym indiańskie howgh chrumknięcia. Żeby się pocieszyć i ukryć zmieszanie, poklepywaliśmy się mocno po plecach, aż echo odbijało się między drzewami niczym ciężkostrawny obiad.

Jeśli nie w ogrodzie, to przecież można było siedzieć w domu. Z wielkiego salonu widać było przez panoramiczną szybę, co się dzieje w ogrodzie, kto wstaje zdecydowany, a kto się wciąż waha, czyje okrzyki mają brzmienie bojowych, a kto daje znak do odwrotu. Jeśli siedziało się w salonie, wtedy z dołu dawała się słyszeć niemodna muzyka, w rytm której rachitycznie podskakiwali i ocierali się o siebie nieznanymi nam nawet z widzenia ludzie. Niektórzy z nich, jeśli akurat nie byli zajęci tańcem, komentowali ostatni mecz piłkarski, dodając głośno punkty i bramki, wyciągali średnią, która nie mogła starczyć, nie tylko do awansu, ale nawet na kilka dni życia w pobliskim mieście. Dzieci spały w pokoju na ostatnim piętrze, nie podejrzewając do ostatniego słowa dopracowanego spisku sił nieczystych, które szukały po śladach łazienki, by wziąć ożywczy prysznic. Z ogrodu ktoś dawał do zrozumienia za pomocą wyszukanej mimiki, że udało się jeszcze uchronić jedną butelkę i trzeba przypomnieć sobie zasady konspiracji, aby dopełnić obrządku.

Czas mijał. Leniweliśmy. Ogrodowe rośliny wzrastały, wysuwały ku nam gałęzie, oplatając coraz częściej pustoszące fotele po tych, którym udało się uciec. Tym, którzy na przekór sobie zostali, musiały wystarczyć niedorzeczne historie, mimo że nikt przy zdrowych zmysłach za nic nie chciał w nie uwierzyć, a kilka zdjęć wyjętych z kurtki albo przechowywanego w pokoju na piętrze albumu wzbudzało lekkie zażenowanie. Ktoś podszedł i dyskretnie powiedział, tak aby usłyszeli tylko nieliczni, że udało się jeszcze ocalić dwa ostatnie samochody, które za chwilę wystartują, by uratować nas przed nieuchronną w innym przypadku rzezią. Zgarbieni, przemykaliśmy się żwirowymi alejkami, pomiędzy kwietnikami i ogrodowymi rzeźbami, by kilka minut później szarżować już ku przedmieściom.

TUBERKULOZA ZBIERA POTWORNE ŻNIWO

No, tak, tak. Napisać książkę, wstrząsającą, demoniczną, może zbiór niezapomnianych opowiadań. Coś, co wstrząśnie ludźmi w całym kraju i co sprawi, że poniekórym parszywcom jedynym godnym wyjściem wyda się strzelić sobie w łeb. Imaginuj-my sobie - rzecz dzieje się w upalne, długie, bezdeszczowe lato. Ubranie klei się do ciała, pot spływa gęstą, obrzydliwą cieczą po twarzy i z szyi, wzdłuż kręgosłupa, chlupie w butach, wlewa się we wszystkie intymności. Powietrze stoi, nie ma najmniejszych szans na orzeźwiający wiatr, zimne napoje nie chłodzą, parzą rozgrzane ściany domów. Letnicy na bolesnym spacerze, samotna willa na obrzeżach modnej miejscowości. Stąd blisko jest do upragnionego morza. Na werandzie stoi okrągły stół, dwa głębokie wiklinowe fotele, w szklanym dzbanku sok owocowy. I taki oto teraz wyłania się widok: pochylony nad papierem pisarz tworzy wielowątkową powieść-rzekę, co jakiś czas pokasłuje. Na chwilę przestaje pisać, spogląda na nieruchome drzewa, może furtkę prowadzącą na ulicę lub w kierunku przejścia do ogrodu. Wraz z kaszlem wyrzuca z siebie niemożność. Och, jak miło by było zbałamucić jakąś młodą pensjonarkę, myśli, perwersyjną nastolatkę, zanurzyć się w tej ciepłej, gęstej zmysłowości, potem skończyć tę powieść, może uda się osiągnąć przedśmiertny sukces, który przetrwa przez więcej niż jedno pokolenie, zanim przyszłe wojny nie zniszczą bibliotek i pamięci. Ale cóż może spowodować dreszcz podniecenia u zblazowanych czytelników? Powiedzmy, że to będzie tak: klasztor nad wzburzonym morzem, opętane zakonnice w ekstatycznym tańcu, żaden, nawet najbardziej doświadczony egzorcysta nie daje sobie rady. Ukryty przed niepowołanymi podziemny korytarz prowadzi daleko w głąb morza, tam jest kipiące, pieniste ujście wszelkich namiętności. Nieświadomi niczego wczasowicze zbliżają się beztrząs do ogrodzenia, jakby chcieli zerwać niewidoczne owoce. Śmiech dziecka, śmiech kobiety, śmiech mężczyzny - całe upalne lato przez chwilę wydaje się być śmiechem. Ona nie żyje od wielu lat, on ciągle jest opiekuńczy, przynosi kwiaty, proponuje spacer po plaży, wzdłuż spokojnego, odpoczywającego jak po nagłym ataku choroby morza. Na piasku odciska się wielki cień kozła i przerażający przyduszony śmiech pobrzmiwa gdzieś jakby spod ziemi. Nie, nie, w tym nie ma żadnej ekspresji, martwi się pisarz, patrząc na papier. Tak się nie złapie za łeb czytelnika i nie uderzy jego głową o parapet. Pisarz skreśla wszystko długimi pociągnięciami pióra. Trzeba zacząć jeszcze raz, od początku. Znaleźć metodę, dzięki której czytelnicy zaczną drzeć przed każdym kolejnym zdaniem, jakby słowa szykowały na nich straszną zemstę. Och, mieć siłę Edgara Allana i tych wszystkich suchotników, alkoholików, narkomanów, plujących krwią, wrzeszczących po nocach, trzęsących się w delirium, myśli, a choroba drąży jego organizm jak pień drzewa przeznaczony na czółno. Wstaje trochę niepewnie, wchodzi do domu, człapiąc raczej niż idąc, rozgląda się bezradnie, jego wzrok rozdrapuje ściany i meble. Czegoś szuka, na pewno nie tytoniu, bo nie pali. Nie wolno mu. Tak więc nie jest to ani papierośnica, ani fajka i puszka z tytoniem, nie są to też w takim razie zapalki. Można by rzec pretensjonalnie, że szuka tam natchnienia, ale przecież i to nie będzie prawdą. Wreszcie jego wzrok natrafia na coś, jeszcze tego nie widzimy, ale już wiemy, że właśnie o to mu chodziło. Pisarz z wyraźnym wysiłkiem podnosi ciężką maszynę do pisania (solidna niemiecka robota), wynosi ją na taras, z ulgą stawia na stole, wkręca papier, jeszcze raz, wszystko od początku.

Dzielnica willowa, numer domu 20, wyraźnie widoczny od strony ulicy. Ogrodowy spryskiwacz polewa trawę i przy okazji kamienną alejkę i grilla stojącego na warcie. Wysoki mężczyzna odchyła się w wiklinowym fotelu. Nareszcie jesteś, masz piwo? mówi wyraźnie zniecierpliwiony. Wstaw je do lodówki, siedzimy tu już od dwóch dni i dzwonimy do wszystkich agencji towarzyskich, nawet tych pedalskich, masaże erotyczne, sado-maso, wszystko. Dostyc już tego. Mam przykre wrażenie, że wszędzie poznają mój głos. Na przykład jakaś kobieta słucha, jak się pytam o ceny, i mówi do swojej siedzącej obok i malującej

paznokcie koleżanki: znam tego gościa, mieszka w moim bloku, ale myślałam, że to ciota. Teraz ty dzwoń, musisz się wkupić. Przyniosłem piwo, to chyba wystarczy, mówi ten, który właśnie przyszedł. W jego słowach da się wyczuć lekką złość. Może to przez ten piekielny upał, który nie opuszcza całego kraju od początku astronomicznego lata. W dodatku nie mam ochoty dzwonić do żadnych agencji, mówi. Jestem głodny, macie coś do jedzenia? Idź, weź sobie z kuchni, odpowiada jeden z siedzących przy stole. Na stole są ser i warzywa. Ej, może byśmy po prostu zaprosili trochę osób, zrobimy garden party z prawdziwego zdarzenia, proponuje ktoś, otwierając butelkę z piwem.

Pisarz prostuje się w fotelu i próbuje spojrzeć na to, co napisał, z koniecznego, jak uważa, dystansu. Nie jest z siebie zadowolony. To jeszcze nie to, mówi, jeszcze nie. Diabeł siedzi w szczegółach, więc trzeba je dopracować. Nie ma jednak czasu. Diabeł wychodzi ze szczegółów i zjawia się nagle, by wypełniła się umowa.

19.

NIEDZIELNA EMISJA Z CYKLU "STARE KINO"

Skrzyp żwiru pod kołami starego modelu samochodu, niech to będzie czarny citroen DS, ten samochód jest taki tajemniczy, nawet sam Fantomas nim jeździł, starcza za cały podkład muzyczny. Nastął już wczesny zmierzch, reflektory z trudem przebijają się przez gęstniejącą mgłę. Kierownicę mocno i pewnie obejmują szczupłe dłonie w czarnych, ściśle przylegających rękawiczkach. Można przypuszczać, że czarne mankiety łączące rękawiczki z korpusem są częścią czarnej marynarki, pod nią z pewnością kryje się czarny golf. Za zakrętem, spomiędzy drzew wyłania się zarys zamku. Wygląda oczywiście na ponury i opuszczony, choć w oknie na piętrze miga jakby czyjś cień. Ale to wszystko może być złudzeniem, błyskiem świetlnego refleksu, mylącą grą kształtów. Przecież nikt tu nie zachodzi, od kiedy zmarł obciążony infamią ostatni właściciel. Okoliczna ludność jest przesądna, ci bardziej zabobonni mówią oczywiście o duchach, ci myślący racjonalnie napomykają o trujących gazach wydobywających się z zamkowych piwnic i przenikających do komnat, powodujących, że kto się na noc w jednej z nich ułoży do snu, już się więcej nie obudzi. Prawda nie musi jednak leżeć pośrodku, być może wcale nie istnieje i nie łudźmy się, że akurat my będziemy świadkami jej wyjaśnienia.

Tymczasem mgła przesuwana jak tekturowa dekoracja na scenie symultanicznej. Na przemian odsłania i zasłania wstydlive tajemnice, tak że temu, kto przez chwilę widział, nie sposób zorientować się, co widział. Wsiąka w nią dym z papierosa kierowcy citroena DS, który przez chwilę patrzy na bryłę budowli, jakby liczył cegły, w myślach konstruował przemysłne pułapki i zapadnie. Później odjeżdża, spod kół samochodu unosi się kurz, drobne kamyczki. A my wciąż oczywiście nie znamy jego twarzy.

Jak podają wiadomości radiowe, mgła nie odejdzie prędko. Wręcz przeciwnie, będzie się rozrastać, jak na filmie "Mgła" właśnie, kiedy ta nadchodziła od morza wielką spienioną falą, zbliżając się nieodwołalnie do przylądka, małego grubego palca wetkniętego w wodę, na którym jak złośliwa narośl wykwitła latarnia morska. Spójrzcie, zaraz oblepi stożek latarni, a w chwilę później całe miasteczko. Z mgły wychodzą nieboszczycy, przystojni, choć cali w szmatach, co chwilę któremuś odpada jakaś kończyna, a oczy ich są czerwone, tą chorobliwą czerwonością zapaleńców, obrońców prawdziwej wiary, rewolucjonistów, samotnych i nieustraszonych. Ci też są nieustraszeni. Bo jak się bać i czego, jeśli jest się już trupem. I to od dwustu lat. Gdy jest się martwym członkiem załogi zadżumionego statku, którego nikt nigdy nie wpuści do portu, więc w końcu wpuszczają się sami, a kulminacja tragedii rozegra się oczywiście w miejskim kościele. Ale wcześniej ktoś dokładnie przeczyta tajemne księgi. Później wszystko, dokładnie wszystko się pomiesza, będzie dym, huk, polecą głowy, tryśnie krew, aż w końcu kurz bitewny opadnie i słoneczny wstanie nowy dzień. Mgła odejdzie z

nastaniem świtu, całe miasto odetchnie z ulgą. Oni wrócą. Za następne dwieście lat. Nie ciescie się przed czasem, bo nie zaznacie spokoju. Przyjdą, gdy wypełni się czas. Wykopią was z cmentarzy i pożrą. Nie pomogą egzorcyzmy, transowe modlitwy, święcone wody, skrzyżowane palce. Zatechły oddech krypty, zgniły, ciężki chuch kata-kumby nie znikną, ale staną się waszym udziałem. Tym, kim oni byli wczoraj, wy jutro będziecie. Dlatego tak kuszące są stare fotografie, na których martwi ludzie spontanicznie lub wymuszenie uśmiechają się do obiektywów. Aż chciałoby się dotknąć miękkich, gładkich ciał kobiet, poklepać po plecach mężczyzn, baletnice i prostytutki, chłopców na posyłki i prężnych wiosłarzy. Poczuć ich oddech, zapach, usłyszeć śmiech albo wulgarne przekleństwo. Nie ma zbiorowych hibernatorów, wędrówek w czasie, galopad między wiekami, sentymentalnych podróży do opuszczonego świata. Superdokładna, schizofreniczna pamięć wystukuje daty, szyfruje je, zapisuje fiszki w katalogach, notuje zarys twarzy i ubrań. Wyłapuje każdą niedoskonałość urody. Rys podbródka, drżenie kącika warg, groteskowo odstające uszy. Dłonie kierowcy citroena DS nie pozwolą nikomu zachować w pamięci tego, czego nikomu nie wolno zobaczyć.

20.

REPORTAŻ Z CYKLU "WIELKIE MIASTA ŚWIATA - AMSTERDAM"

Widokówki, trzeba koniecznie kupić dużo widokówek. Doskonałe są te duże, czarno-białe i tak śmiesznie kolorowane jak stare zdjęcia ślubne. Ale najlepsze te, na których widać, że tak naprawdę nieważny jest przedmiot przedstawiany, ale ujęcie, mały wycinek większej całości, z pozoru nieistotny fragment, że ważny jest niepowtarzalny klimat uchwycony akurat w tym momencie. Gdy wydłuża się cień, tramwaj skrzypi na zakręcie, woda pod mostem wzbiera deszczem. I teraz widzę: przez mały most na zdezelowanym rowerze jedzie mężczyzna w urzędniczym garniturze. Wodny tramwaj płynie prawą stroną kanału, z naprzeciwka rozgarnia wodę dziób małej motorówki. Żadnych błędów. Idealnie czysta szyba oddziela od deszczu. Dwaj mężczyźni na pierwszym piętrze nie zwracają uwagi na to, co się dzieje na ulicy. Ten - wyższy odchyła się w fotelu, pociąga za sobą ze stołu kubek gorącej kawy z syntetyczną śmietanką. Ten niższy uważnie spogląda w ekran komputera. Wyglądają na zmęczonych, ale chyba zadowolonych z efektów swojej pracy. Jeden z nich wreszcie spogląda przez okno. Widzi dziewczynę w przeciwdeszczowym płaszczu niedbale wymachującą małą torebką, stawiającą nogi w jednej linii jak na wybiegu dla modelek. Wszystko jest dla ludzi. Telefony, faksy, pageay, kopiarki, modemy i chińskie jedzenie. Bardzo, bardzo wygodne fotele. Dyskretna muzyka. Najlepiej popołudniem, gdy pada deszcz i nawet samochód ciężko wygonić na ulicę, choć zbliża się sezon kulturalny i będzie można nie zważając na nie sprzyjające warunki atmosferyczne wyruszyć wieczorem w świat. Zaczną się niebawem w odległych osiedlach przyjęcia rocznicowe, a w centrum jazzowe koncerty, o, jakże wszyscy będą szczęśliwi.

Tak, pamiętać o pocztówkach przedstawiających nieprawdziwe w każdym centymetrze sześcienne domy, w każdym milimetrze kwadratowym ulice. Zwodnicze napisy na barach, pubach, kawiarniach. Grzechot rozmów, wciąż w tej samej tonacji. Kartki pocztowe z miejsc, które się marzą wszystkim siedzącym w domach, poznającym świat przez telewizor.

Spójrzcie, jak się męczę, pisząc te wszystkie komunikaty o pogodzie, cenach, kobietach, a wręcz cenach kobiet, jak wydobywam fragment siebie, mały ułamek, dwie krople z tych 80% wody, z których podobno się składam, żeby nakleić znaczek w prawym górnym rogu, spróbujcie uwierzyć, że naprawdę nie mogę utrzymać długopisu. A deszcz? A muzyka? A domy? Wszystko tutaj jest dla mnie, mam gest, mogę wam dać część tego. Bierzcie i jedzcie to wszyscy. Ja sam już dawno dałem się pożreć. Teraz siedzę, wykreślam z notesu następujące po sobie adresy. Mam władzę, przynajmniej w tej chwili. Unicestwiam ludzi,

zmieniam statystyki, choć one i tak już dawno wydały na nas wyrok. Piszę kolejną pocztówkę. Jedna pocztówka - jeden trup.

21.

NIECHCIANA PODRÓŻ

Czwarta rano, fioletowość poranka, choroba jak kornik z filmu rysunkowego pożera wszystko, co napotka na swej drodze. Wąskie, nierówne uliczki, legendarne kawiarnie i kolorowe graffiti w przejściu podziemnym. Zniwalaający zapach średniowiecznych piwnic. Niezliczone kościoły z relikwiami świętych, krążgankami świątyni przechodzą zakapturzeni wyznawcy śmierci z powodującym deszcz śpiewem. Ich tajemnicze obrzędy i klątwa, która sprawdza się od pięciuset lat, nie dając nikomu nawet najmniejszej szansy. Kilka przecznic dalej nastoletni anarchiści noszą czerwono-czarne flagi. Nadchodzi czas rozstrzygnięć, mówią konserwatyści. Liberałowie prorokują koniunkturę. Wydaje się jednak, że nadrzędną ideą staje się obsesyjna asceza mająca przygotować wszystkich na nadejście nowych czasów. A kiedyś, to mogły być na przykład lata trzydzieste, bawili się jak na metropolię przystało, bez ograniczeń. Wystawiali na widok swój pokazowy hedonizm, choć dręczyło ich podskórne przecucie, że to już schyłek, nie pierwszy i nie ostateczny, ale jednak przecież koniec tego świata. Wszystko się skończy, tak jak kończyło się dwadzieścia lat wcześniej, jak skończy się jeszcze niejeden raz. Ale zapewne byli przekonani, że są ostatnimi. Neony świeciły histerycznie, jakby domyślając się, że wkrótce nadejdzie czas zaciemnienia.

Więc upijali się, póki była sposobność, na przyjęciach, rautach, przy dźwiękach big-bandów i modnych kwartetów jazzowych, później rozbijali się samochodami na drzewach, samolotami nad pustynią, mówili: ktoś musi iść po pomoc; albo zjadali się, przedzierając się przez dżungle i tundry, zamarzali, idąc przez nieskończone śnieżne przestrzenie, lub szli na dno zimnego oceanu.

Ponure górnicze miasto, piąta rano. Koszmarna noc w hotelu, palą się wszystkie wnętrza, za ścianą cienką jak deszcz ktoś wymiotuje, torsje wykręcają go na drugą stronę i rozsadzają głowę na tysiące kawałków. Powietrze śmierdzi zardzewiałym metalem, pleśnią gnijących kamienic, poprzednim wieczorem i przegranym meczem eliminacyjnym. Łatwo uwierzyć, że stąd nie można wyjechać, to tak jakby dać się zesać samotnie na bezludną wyspę, zabierając ze sobą tylko zawałający się dom z pourywanymi balkonami, zdezelowany tramwaj, maleńką budkę z biletami i tytoniem.

Wielkie, mokre miasto. Po ulewnym deszczu wszyscy nabrali wody w usta. Przerazliwie zimno. Radio i telewizja co chwilę podają komunikaty o podwyżce cen alkoholu. A więc jutro trzeba będzie się upić na zapas, po starych cenach, bo i tak nie bardzo wiadomo, co zrobić z mokrym wieczorem wmieście, z którego uciekły wszystkie piękne dziewczyny, a starzy przyjaciele i znajomi naprawdę zaczynają już ciążyć, właściwie to już nic nie trzeba prócz namiastki narcyzmu i świadomości, że można było zupełnie inaczej rozegrać tę partię. A kolejne lektury literackich arcydzieł nie wnoszą nic nowego do tej afabularnej sytuacji. I męczy nieustępliwie prześladowająca narracja pierwszoosobowa w zderzeniu z trzecioosobową historią nie napisaną.

Metropolia początku stulecia. Słynne zabytki architektury i tłumnie odwiedzane muzea, galerie, kawiarnie i ciastkarnie. Całe miasto wygląda jak scenografia do popularnego serialu na motywach poczytnej książki, której kanwą jest romans z wyraźnie zarysowaną problematyką społeczno-polityczną końca tamtej epoki w przeddzień upadku Monarchii. Smukli oficerowie z zawadiackimi wąsikami i wąskimi biodrami deprawują głupio, kokieteryjnie się chichrające pensjonarki w czarnych sukienkach, uciekające od ich rąk w zalotnych podrygach. Pociąg wjeżdża na stację dokładnie co do minuty, zawiadowca

z zadowoleniem porównuje czas wskazywany przez jego osobisty zegarek z tym, który przewidują oficjalne dokumenty. Główną ulicą maszeruje orkiestra wojskowa lub wystukując rytm końskimi kopytami, kłując lancami chmury, paraduje szwadron kawalerii. Oczywiście dzieci mają wstążki u kapelusików, a wielkie kapelusze kobiet dekorują owoce i kwiaty. Zabytkowy most, zabytkowy zamek, zabytkowy tramwaj, zabytkowy pistolet, który przykłada sobie do skroni neurasteniczny student, wysłuchując piosenki "Ta ostatnia niedziela". Stary antykwariusz przechowa kulę w irchowym woreczku. Patefon jest najdoskonalszym wynalazkiem ludzkości, czasami bardziej skutecznym niż powieści i wiersze, nie wspominając już o malarskich aktach, nawet tych najbardziej wyuzdanych. Nawet lepszym od opium, choć przecież zna się to raczej z opowieści kolegów niż z autopsji, tak jak słony smak vaginy, którego poznaniem niektórzy szczytą się przy ledwo skrywanej zazdrości pozostałych. I jeżeli nawet ktoś przytomnie teraz zauważy, że przecież czas tak wyraźnie rozdziela dni przed upadkiem Monarchii i symbolicznym końcem wieku z popularnością "Ostatniej niedzieli", to przecież wnet powinien pojąć, że kamera ślizga się tylko po przedmiotach, na dłużej nie zatrzymując na nich swej uwagi, swobodnie przeskakuje też po kalendarzu i zanim się obejrzymy, ten smukły oficer o wąskich biodrach będzie stetryczałym, zgorzkniałym starcem żyjącym wspomnieniami, o ile nie pożre ich demencja, a ta zarumieniona służąca z długimi puszystymi włosami zamieni się w starą, bezzębną kobietę obierającą w kuchni kartofle i złorzeczącą przy tym na cały świat.

Tymczasem Bela Lugosi układa się do snu w trumnie. Jutro znów będzie musiał zagrać rolę swojego życia. Nawet nie myśli o tym, że za kilkadziesiąt lat jego filmy będą emitowane w telewizji w samo południe, kiedy z kuchni słychać odgłosy ubijanego na kotlety mięsa, a dzieci, ganiając się po całym mieszkaniu z wielkim kudłatym psem, wydzierają się wniebogłosy. Stołeczne miasto u progu nowego stulecia. W modnej restauracji duet skrzypcowo-gitarowy muzyką uzupełnia ofertę koktajli o wymyślnych nazwach i nieziemskich potraw, za których niezwykłymi fakturami kryją się najzwyczajsze na tej szerokości geograficznej warzywa. Uporczywy gwar wwierca się w głowę przez ucho aż do mózgu. Fotele przykryte prześcieradłami, jakby ktoś wyjechał z tego zamku w długą podróż i może kiedyś wróci, idąc przez wielką salę i ściągając prześcieradła, ze smutno-ironicznym spojrzeniem przesuwającym się po niezbyt udanych portretach przodków. Jego motocykl z koszem na podjeździe będzie się niecierpliwił, zresztą i tak nie będzie po co zostawać w tym miejscu, lepiej sprzedać wszystko zwariowanemu multimiliarderowi albo nadętemu kolekcjonerowi angielskich zamków, pojechać na stację i złapać najbliższy pociąg do swojego nowego domu. W modnej restauracji przy małych szklanych stolikach szczupłe palce ujmują wielkie kielichy białego wina, a barman w garniturze i koszuli idealnie dopasowanej do krawata, z lekką pogardą patrząc na nowych gości, wędrujących po karcie dań i napitków, płynnymi ruchami donosi i stawia przed nimi wciąż nowe sałatki, dania rybne, drobiowe i otwierające drogę do zamorskich krain mieszanki alkoholowe. A czas się zatacza kołem na podobieństwo zamkniętego kręgu żywieniowo-trawiennego, tak udatnie przedstawionego za pomocą ryciny w podręczniku przyrody - z nawozu powstaje roślina, którą zje zwierzę lub człowiek, człowiek też może zjeść zwierzę, i tak wszystko na powrót zamieni się w nawóz. Dlatego jest ta chwila namysłu prowadzącego kamerę, a może ogień ciągły z karabinu maszynowego. Taśma się kończy, i czy to jest taśma filmowa, czy z nabojami, zdaje się być sprawą co najmniej czwartorzędną.

A co się stało z owym archiwistą cudzych śmierci, antykwariuszem sprzedającym swoim klientom tanie wzruszenia i nie do końca wiarygodne materiały na moralizujące anegdoty? Czy sześcinnie w zaciszu swego zakurzonego kantorku, czy pleśń pokryje jego zmumifikowaną suchą twarz, czy odejdzie bezimiennie w zapomnieniu i żadna rodzina nie upomni się o godny pochówek jego truchła? Ależ to właśnie jego sekretny pamiętnik staje się kanwą tej dziwnej na pozór opowieści i przez żadnego sukcesu, a przede wszystkim

namony młodego artystę po latach zostaje przerobiony na scenariusz. Tak oto się kręci globus na bożym biurku.

22.

JADĄC POCIĄGIEM EKSPRESOWYM RELACJI WARSZAWA-KRAKÓW I CZYTAJĄC W GAZECIE RELACJĘ Z KATASTROFY SAMOLOTU NA TRASIE NOWY JORK-PARYŻ

Nareszcie pogoda się poprawia, po wielu długich dniach oczekiwania, jest już słonecznie i niedługo rolnicy będą mogli zabrać się za żniwa. Jednak dwutygodniowy deszcz zdążył bezlitośnie wygonić znad morza wszystkich nieszczęsnych turystów zamienionych w tłumy bezradnych uchodźców. Ośrodki wczasowe i campingi opustoszały, jakby wszyscy uciekli panicznie w obawie przed nadciągającym morowym powietrzem. Puste stoją porzucone na plażach wiklinowe kosze, puste opuszczone smaźalnie ryb, z których uleciał już nawet smród starego oleju, i sklepy z pamiątkami, z których wymiotło bez śladu szkolne wycieczki. Agencje prasowe prześcigają się w nadmiernym cytowaniu kompetentnych specjalistów od przemysłu turystycznego, prorokujących przyszłoroczną pielgrzymkę dotychczasowych klientów tego wybrzeża do ciepłych południowych krajów. Wiadomo - martwy sezon w polityce, z kulturą i sztuką też nie jest najlepiej, wszystkie ważne premiery szykuje się na jesień, podobnie jak rewanżową rundę rozgrywek ligowych. A więc zły sezon. Dlatego szpalty zapełniają się najbardziej wydumanymi tematami. Na przykład takimi jak ta o opuszczonych modnych nadmorskich miejscowościach. Opustoszały także tradycyjne miejsca weekendowego odpoczynku nad jeziorami i spadła dramatycznie w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego sprzedaż kremów do opalania, szczególnie tych z mocnym filtrem, wszak nie trzeba się bronić przed podstępny rakiem skóry. Ci jednak, którzy bardziej niż wielogodzinne wylegiwanie się na rozpostartym na piasku ręczniku cenią sobie długie spacerunki wzdłuż brzegu i po lesie pełnym jagód, niekoniecznie muszą narzekać. Czy 230 osób to dużo? To zapewne jeden dom wczasowy, kilkadziesiąt metrów kwadratowych plaży w szczycie sezonu, powiedzmy, dziesięć wycieczek zorganizowanych, jedna sala kinowa na pokazie premierowym - pyszności stroje i woń perfum. To nieduża wioska, w której wszyscy są zaaferowani zbliżającym się ślubem najpiękniejszej dziewczyny w okolicy. Dwie kompanie wojska, dwadzieścia drużyn piłkarskich, a więc cała pierwsza liga hiszpańska (nie licząc rezerwowych, a jedynie podstawowe składy). To, jeżeli przyjąć, że w każdym z mieszkań żyją dwie osoby (dzieci są na wakacjach), dokładnie cały blok, który widać, gdy pociąg mija stację kolejową. Swoją drogą, co za pomysł, stawiać wielki dom prawie przy samych torach. No tak, zależy więc, jakie się przyjmie proporcje. 230 wczasowiczów, w porównaniu z milionami tradycyjnie szturmującymi wybrzeże, to rzeczywiście niedużo. Pusty jest pociąg szybko przemierzający krajobraz jak z albumu.

23.

ZAPOMNIANE FILMY

Zbliżają się magiczne dni, tak jest przecież zapisane w księgach, tak zapowiedziano w programach telewizyjnych, tak zostało wykrzyżane przez charyzmatycznych przywódców religijnych i wyszeptane starymi ustami wrózek z ogłoszenia, podane w wieczornych wiadomościach radiowych. Na własny rozkaz siedzę od trzech dni zamknięty niczym w celi śmierci w kurczącym się mieszkaniu. Rosną mi szybko broda i niepewność, a ciało głośno domaga się gorącej kąpieli. Rytm posiłków, których w przeciwieństwie do higieny osobistej nie zaniedbałem, wyznacza mi pory dnia. W telewizji, która podaje mi pociechę słów w sosie

kształtów, Jean Marais goni Fantomasa. Francuskie krajobrazy wydają się takie nieprawdziwe, mimo niewątpliwych walorów kolorystycznych. "Jestem Fantomasem" powiedział w Berlinie John F. Kennedy. Musiał więc umrzeć. Nie wolno wypowiadać zbyt pochopnie nawet najbardziej oczywistych prawd. Mimo iż wszyscy jesteśmy Fantomasami, a nasze kobiety w białych sukniach noszą pod pachami swoje obcięte głowy, snując się smętnie po blankach osiedlowych bloków, to nawet nie przez zwykłą lojalność, ile raczej nędzne resztki rozsądku nie chwalimy się tym na prawo, lewo i przed siebie. Gonią nas z przerażającym wyciem policyjne sfory, wścibscy, rozwrzeszczani dziennikarze, na drzewach czają się bezwzględni fotoreporterzy, grożą fanatyczni kibice piłkarscy, z nieufnością i pogardą patrzą na nas wypomadowani barmani. Tymczasem my cicho znikamy za rogami domów, rozpływamy się bez śladu w listopadowej mgle, odlatujemy startującymi z kominów rakietami, czmychamy z szafotów, wykorzystując chaos sprokurowany przez naszych oddanych na śmierć współników, przenikamy przez grube mury, zanurzamy się w głębiach wód, by dotrzeć do podmorskich pałaców, w których czekają na nas nasze rybne kochanki. Pamiętaj jednak o tym, że trzeba mieć miejsce, do którego się wraca, powiedział mi w zaufaniu bliski znajomy. Idąc za nim krok w krok, znikając tylko od czasu do czasu w bramach, gdy czułem, że chce się odwrócić, trafiłem do dość popularnej spelunki, w której upadli intelektualści uwodzą studentki i malarki, proponując im niezwykle perwersyjne przygody. Nie on jeden tam wraca, choć nie wpuszczają już, jak dawniej, schizofreników, a piwo, mimo że wciąż ciepłe, drożeje z dnia na dzień. Ta wyższa z obojętnych na nasze egzystencjalne lęki barmanek nie daje mi spokoju. Ona też musi być Fantomasem. Za chwilę ściągnie z głowy plastikową maskę.

Inspektor policji pochyla się nad zwłokami brutalnie zamordowanej młodej dziewczyny, której ciało rzeka wypłukała tuż za miastem, jakby chciała ułatwić zadanie autorowi kiepskich kryminałów, które ten wypłuka skrojone na umówioną miarę, jak reguluje to kontrakt, raz do roku. Policjant wstaje, widać zmęczenie na jego twarzy, zmrużonymi oczami patrzy na odległe bloki, jakby tam szukał odpowiedzi na powstające właśnie w jego myślach pytania. Dwóch ludzi bez żadnego wzruszenia, momentu zawahania, pakuje zwłoki do czarnego worka, będącego chwilową namiastką trumny.

Piętnaście kilometrów stąd koszmarny kac zrywa nagle z łóżka młodego działacza politycznego, o którego przyszłości powiada się, że jest świetlana. Niepewnie idzie do łazienki, jedną ręką trzymając się za głowę, drugą prowadząc po ścianie, aż wreszcie natrafi na kłamkę. Spogląda spod podpuchniętych powiek na drzwi wejściowe, jakby bojąc się, że za chwilę ktoś je wyważy i wedrze się do mieszkania, by go bestialsko zamordować, a potem długo znęcać się nad ciałem. Za drzwiami nie słychać jednak podniesionych głosów, uderzeń topora, a jedynie jednostajny szum windy zwożącej do sklepu zwłoki dobrej żony i matki trójki dorastających dzieci. Na ścianach klatki schodowej pyszną się wywrotowe napisy. Sąsiadka wbija oko w celownik wizjera. Tak zaczyna się ten dzień, który na pozór powszedni, jeden z wielu, niesie jednak ze sobą niezwykle niespodzianki. Zmieni wszystko w życiu młodego działacza politycznego, inspektora policji i zabójcy młodej dziewczyny. Zanim jednak ich losy ostatecznie i nieodwołalnie się wypełnią, musi minąć przewidziany czas. Na razie wszystko wydaje się płynąć utartym korytem. Na pierwszym piętrze, zza zasłony, słychać synkopowany stukot maszyny do pisania. Jest ciepła noc, pachnie bzami, jak zawsze na takich filmach.

24.

DECYDUJĘ SIĘ PO LATACH ZNÓW POSŁUCHAĆ PŁYTY "QUEEN IS DEAD" THE SMITHS

I oto co widzę: wyjmuję z plecaka gazetę i kładzie ją na stole, z kieszeni kurtki wyciąga trochę się opierającą paczkę papierosów i zwykłą jednorazową zapalniczkę, jaką można dostać w każdym kiosku prawie za darmo i rzuca je swobodnym ruchem na gazetę. Pewnym krokiem, jakby nie obawiał się zastawionych tam pułapek, wchodzi do kuchni i nastawia wodę na herbatę, przy okazji, nie wiedząc czemu, patrząc przez okno na ulicę, z której przed chwilą wrócił. Czyżby w duchu podejrzewał, że coś się wydarzyło, może nagle załamała się pogoda, zmieniła pora dnia lub roku, nastąpiło nieprzewidziane zaćmienie słońca? Albo podskórnie czuje, że coś się dzieje, że wszystko, co jest na zewnątrz, przeży się w dziwnym, niepokojącym napięciu i być może za chwilę stanie się coś, czego świadkiem warto być, choćby oznaczało to powracające przerażającym bumerangiem nocne koszmary? Tymczasem nic się nie dzieje, nie następuje żaden wypadek, za oknem jest dokładnie to samo, co było przed kilkoma minutami, nie zmieniły się konfiguracje brył ani stany skupienia ciał. Rozsznurowuje buty i ściąga je z wyraźną ulgą. Włącza magnetofon. W rytm muzyki wykonuje kilka węzowych ruchów po pokoju, wysuwając język, jego koniuszkiem dotyka górnej wargi i przebiera w powietrzu długimi, szczupłymi, sprawnymi, wręcz stworzonymi do kasiarstwa palcami. Wyobraża się sobie jako kobieta rozbierająca się i wyginająca swe wiotkie, gumowe ciało za prowokacyjną zasłoną cienkiej firanki, z drżącą fascynacją podglądana przez lubieżnych starców z naprzeciwka i realizujących się w podkładaniu nóg rówieśnikom dwunastolatkom, którzy po lekcjach próbują magii papierosów i taniego wina, a później cegłami z pobliskiej budowy wybijają szyby w szkole, na złość znieawidzonym nauczycielkom. Tej wypomadowanej i spryskanej popularnym dezodorantem, w oblepionym kolorowymi blaszkami cienkim mechacącym się swetrze, maszerującej równym, żołnierskim krokiem przez korytarz. I tej drugiej, grubej i paskudnie cuchnącej potem, kołyszącej się dostojnie między rzędami ławek. Pod blatami stolików uczniowie modelują plastelinowe kulki, wstrzeliwane później przez rurkę z automatycznego ołówka we włosy dziewcząt siedzących bliżej zielonej tablicy. W przedostatniej ławce siedzi on. Lubi bawić się małymi plastikowymi żołnierzami. Lubi też filmy wojenne i kryminalne. Nie interesuje go lekcja muzyki, na której różowo-seledynowa kobieta w puszystości utlenionych włosów uczy go pieśni patriotycznych, każe mu śpiewać partyzanckie ballady i ludowe przyśpiewki. Woli już te pierwsze, jest w nich siła tak potrzebna jego plastikowej, miniaturowej armii. W tych drugich jest głupkowata nieznośność, która go odstręcza, wręcz się nimi brzydzi. Dopiero gdy na zawsze opuści tę szkołę, zanurzy się w muzyce. W zadymionych klubach, tłocznych, mokrych i słonych od potu koncertach. Sięgając profesjonalnym ruchem ręki po ciężką, zieloną butelkę wina podaną przez współtowarzysza podróży, być może tego samego, z którym wybiłszy szyby w szkole. Wystukując stopą rytm lub rzucając się całym ciałem w tańczący tłum. Ze śmiechem przypominając sobie dziewczynę, w której się wtedy kochał, to znaczy której podstawił nogę i wstrzeliwał we włosy plastelinowe kulki, i wariował na jej widok, gdy na dużej przerwie biegła przez szkolne boisko. On też biegł przez szkolne boisko, prowadził przed sobą piłkę, a wroga bramka była coraz bliżej. W ostatniej chwili beznadziejnie spudłował. Być może była tam wtedy, w grupie koleżanek, i wybuchnęła śmiechem. Teraz też ją czasami spotyka, choć raczej rzadko, a zawsze przypadkowo. Idącą pod ramię z mężczyznami w eleganckich płaszczach, którym w kieszeniach brzęczą z podniecenia klucze od wolnych tego wieczoru mieszkań ich kolegów. W trakcie mijania kłania jej się z półśmiechem, niczym statek oddaje należne honory i znika w tłumie. Za rogiem przystaje na chwilę i zapala papierosa. Dobry sezon na wspomnienia, myśli, obserwując chmurzące się i ciemniejące coraz szybciej niebo. Okrężną drogą wraca do domu, zdejmując kurtkę, podchodzi do magnetofonu i po chwili jego ciało znów wykonuje węzowe ruchy po pokoju, gdy zmysłowy głos wokalisty przesiąka jego ubranie. Nie spotka jej w słoneczny dzień przed bramą cmentarza, nie ma tam ani Keatsa, ani Yeatsa. Teraz zapewne myśli o innej dziewczynie, przytulającej się do jego płaszcza, tam gdzie stoją najwyższe w

tym mieście budynki. Może właśnie czekają na autobus albo na umówionych w tym miejscu przyjaciół, z którymi pójda na czyjeś urodziny lub parapetówkę. Najpierw ustalą, czy posiadają wystarczającą ilość alkoholu lub czy nie zawieruszyła się przypadkiem kartka z adresem, pod który mają się udać. To chyba scena sprzed dobrych kilku lat, trochę zmieniły się realia, ten, który przybył w drugiej parze na miejsce spotkania i pobrzękując butelkami w torbie sprawdzał, czy zgadza się adres, wyjechał stąd kilka lat temu. Musi więc być rok 1988 lub 89. Siłą rzeczy nie spotykają się już, ani z tą dziewczyną, ani z tamtym przyjacielem. Dziewczyna przyjaciela zupełnie zniknęła mu z widoku. Taka właśnie jest kolej rzeczy i taka właśnie tkwi w niej rzeczy siła.

Teraz stoi na przystanku autobusowym lub oczekuje na metro. Dyskretnie obserwuje kobiety. Te wyższe i niższe. Smuklejsze i te z szerokimi biodrami i wydatnymi biustami. Wiem, że some girls are bigger than others myśli i chce to powiedzieć. Mówi coś zupełnie innego, nie na miejscu. Wzrok kogoś z boku uświadamia mu, że przed chwilą mówił do siebie. To objaw wstydlivej choroby, myśli. Wsiada do autobusu albo wagoniku metra, zajmuje wolne miejsce, przykleja twarz do szyby lub wbija wzrok w ciemność tunelu. Znanym wam wszystkim z filmów ruchem wtula głowę w ramiona i żeglujecie wytyczonym lata temu torem wodnym w kierunku przedmieść. Wjeżdża windą, otwiera drzwi, wyjmuję z kieszeni paczkę papierosów, a wraz z nią tanią jednorazową zapalniczkę i rzuca je swobodnym ruchem na stół.

25.

Z PŁYTOWEGO CYKLU "KOMPENDIUM WIEDZY O JAZZIE"

Chet Baker sączy się z głośników. Jak można to inaczej opisać? Wszędzie piszą "muzyka sączyła się z głośników". Trzymajmy się więc sprawdzonych wzorów. Tak więc sączy się "My Funny Valentine" i "She Was Too Good To Me". Cóż poza tym? Międzykontynentalny pocisk półtoralitrowej butelki wina na stole szykuje się do startu, bardzo dużo niedopałków w przepełnionej popielniczce. Trzeba by je wyrzucić, bo rano będzie nieznośny smród w całym pokoju. Balkon na ostatnim piętrze chłodzi mokrym, nocnym powietrzem spoconą twarz. Doskonale zespolenie płomienia zapalniczki i końcówki papierosa. Za plecami muzyka, klejenie się koszul i bluzek, pot, kilka historii do usłyszenia.

O tym facecie w modnej i zapewne drogiej marynarce, który obiecywał, a potem wyjechał, z tą, wiesz którą. Potem wrócił, prędzej czy później wszyscy wracają. Teraz czasami dzwoni i proponuje kolację. Telefony, co byśmy bez nich zrobili. Opiera się na nich cała współczesna kultura słowa.

I ta muzyka, rano do śniadania przy niezmienniej kawie z papierosem. Nieustannie powracające motywy, niestworzone historie o całonocnej podróży pociągiem i kilku dniach zimowych ekskursji w górach. Widoki jak na pocztówkach, długie spacerunki aż do przepocenia. Znudzeniem obrasta dyżurna kaseta, kilka beznadziejnych dowcipów, po usłyszeniu których nie chce się już nawet grzecznościowo uśmiechnąć, i plotek usłyszanych od przyjaciół, które niestety nie rozpalają jak dawniej pożaru ciekawości. Propozycja spędzenia weekendu w znanym uzdrowisku albo modnym mieście z kilkoma kasynami i kawiarniami o niepowtarzalnej atmosferze, gdzie można spotkać znanych aktorów i skandalistów. Byłoby o czym rozmawiać, kartkując plotkarski tygodnik. Na przykład o tym, jak zestarzała się tamta popularna z telewizji, w której przecież wygląda lepiej, albo że ten przystojny nie dość, że jest zgarbiony, to jeszcze wygląda na tęgiego pijaka, więc może prawdą jest to, co mówią. A tamci, tacy zaskakująco niepozorni, czyli rzeczywiście pozory muszą mylić. I słońce na stoku odbijające się od śniegu i tyle niezwykłych atrakcji, że aż nie wiadomo, co ze sobą zrobić. Taka okazja nieprędkiem się nadarzy, ale jak tu wyjechać, skoro w każdej chwili może

zadzwoić telefon, zrobienie dobrych sałatek nie powinno zająć zbyt wiele czasu, tuż obok jest sklep nocny oferujący szeroki asortyment alkoholi.

A może rzeczywiście lepiej nie wyjeżdżać? Zostać tu, na tym balkonie, palić papierosa, drugą ręką obejmować walec solanki, patrzeć na grupkę wieżowców na skarpie, skakać konikiem szachowym po kwadratach oświetlonych okien. Co chwila jedno z nich gaśnie, ktoś kładzie się do łóżka z nadzieją relaksującego snu. Przedtem jednak otwiera okno, by wywietrzyć pokój, przez chwilę patrzy na domy oddalone

o pole i szeroką ulicę, łączącą peryferyjne osiedla z centrum miasta. Widzi prostokąty postaci na tle przyciemnionego

kwadratu pokoju, balkon, ruchy rąk wskazujące na prowadzenie rozmowy, może nawet, jeśli ma dobry wzrok, ujrzeć dwa ogniki papierosów nadające niezrozumiałym szyfrem.

Jeden z tych prostokątów patrzy z dziwnym zaciekawieniem na samochody, opiera się o balustradę balkonu, przechyla się przez nią i cofa do chropowatej ściany, co chwilę wchodzi do pokoju, a to po zapalniczkę, a to po szklankę, i zaraz potem znów, tym razem, by wlać alkohol do pustej już szklanki. Albo stoi na przystanku, pali papierosa za papierosem, przepuszcza kolejne autobusy podjeżdżające z nonszalancją, przewija taśmę w walkmanie, wciska ręce

w kieszenie, chodzi wzdłuż i wszerz po wymaginowanych linach zawieszonych sto tysięcy metrów nad asfaltem ulicy. Obejmuje z determinacją nowe domy rodzące się w tej części osiedla bez opamiętania, liże ich świeży, biały tynk, drapie paznokciami po nieskazitelnie czystych szybach, przenika przez ściany, nadgryza liście roślin stojących na parapetach, zagłębia się w miękkość foteli i kanap, przestawia popielniczki i kubki na niskich, brązowych stolikach, podziwia duże zdjęcia na ścianach, wchodzi w nie, przytula się do sfotografowanych na nich ludzi. Nieśmiało dotyka ogromnego grafitowego magnetofonu. Z szeroko otwartymi z zachwytu oczami patrzy, jak precudownie płonie sąsiedni dom, przeklina strażaków, że tak szybko przyjechali i już doprowadzeni do orgazmu wystrzelili z siebie pianę gaśniczą.

Dziesiąta trzydzieści, wyludnia się, chodnik się chłodzi po całodziennym nacieraniu, jeszcze tylko dwa, może trzy autobusy i wszystko zamilknie. Aż do piątej dwadzieścia, kiedy pierwsze kawałki nie przetrawionego mięsa z późnej kolacji wyjdą spomiędzy zębów i ponaglone wodą spłyną ruchem okrężnym do ujścia umywalki.

Mniej więcej w tym samym czasie, lub trochę później, Mandy Cooper wchodzi do podrzędnej knajpy na przedmieściu, gdzie przy barze Lou Norman pozuje na twardziela, wypijając podwójną whisky, jedną za drugą, za trzecią, za czwartą i przypala złotym ronsonem gitane'a wyciągniętego z niebieskiego pudełka, na którym cień kobiety od lat tańczy między smugami dymu. Jest jedynym facetem w tym mieście, który pali nieamerykańskie papierosy. Nawet nie zauważa jej naglej obecności. Jak gdyby nie owionął go nagle gwałtowny powiew jej perfum, złudnie eternalna obecność. Mandy Cooper posyła mu namiętne nienawistne spojrzenie z półdystansu i podpływa do baru, sadowiąc się na jednym z tych legendarnych wysokich stołków, jednak nie w bezpośredniej jego bliskości, tylko trochę dalej, tak by w żadnym przypadku o niego nie zawadzić. Barman podaje jej drinka, choć nawet nie zauważyliśmy, żeby coś zamawiała. Czyżby była tu stałą klientką, której przyzwyczajenia są obsłudze znane? A jeśli znane są jej słabości do, powiedzmy, martini albo burbona, czy znaczy to, że barman może być znawcą jej najskrytszych upodobań, skrętnie ukrytych pragnień i zaciętych nienawiści? Czy lojalnie skrywa je, czy też dzieli się nimi bez opamiętania ze wszystkimi wokół, tak że kobieta, wydawałoby się, archetypicznie tajemnicza okazuje się być pozbawioną najmniejszego nawet sekretu?

Nie wiedząc nic o naszych rozważaniach, Mandy Cooper popija powoli drinka, lecz my widzimy: pomiędzy zwinnymi palcami chowa małą kartkę z tajemnym adresem w dzielnicy portowej. Podaje ją barmanowi jako zapłatę za drinka, czy też wykonuje tylko czyjeś

polecenie? Nie zdziwimy się specjalnie, jeśli niebawem ujrzemy ciało tej fascynującej kobiety porzucone w którymś z podlegszych zakamarków miasta, a w trakcie nieudolnie prowadzonego śledztwa kolejne zaskakujące odkrycia zaczną malować zupełnie nowy portret umarłej. Na razie jednak Mandy Cooper żyje i właśnie kończy swojego drinka, prawie dokładnie w tej samej chwili, gdy Lou Norman zapala kolejnego papierosa.

Na ulicy jest tak zimno i deszcz zaczyna, próbując dostać nie osłonięte fragmenty ciała, a mrok wydaje się nieprzenikniony i wróżący wszystko co najniebezpieczniejsze. Strach wzmacnia krążenie krwi, ale też skraca oddech i napina mięśnie. Uważny obserwator wnet pojmie, że nienawiść, z jaką Mandy znalazła swego drugiego już drinka ścina wzrokiem głowę Lou, musi mieć erotyczne podłoże. Nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, a przecież nie są sobie obcy - obcy ludzie nie spoglądają ukosem na innych obcych z taką nienawiścią. Z ciekawością, zgodą. Z niezdrawą ciekawością, z zainteresowaniem, którego sami sobie nie potrafią wytłumaczyć, a jednocześnie nie mogą go odrzucić i odwrócić głowy. Próbuje różnych forteli, by nie zostać zdemaskowani, udają, że patrzą zupełnie gdzie indziej. Mandy nie ucieka się do takich sztuczek. W jej obserwacji jest dyskrecja i umiarkowanie. Nie chodzi jej chyba o to, by przyjrzeć się dokładniej, jaki krawat nosi ten mężczyzna, czy jest dokładnie ogolony, czy wygląda na zamożnego, czy też na takiego, który właśnie niczym na gilotynę wkroczył na równię pochyłą swego przegranego życia. Nie o takie, jak nam się zdaje, informacje jej chodzi. Być może kiedyś znali się bliżej, mogło przecież łączyć ich płomienne uczucie, a tak blisko jest, o czym wie każdy, od miłości do nienawiści. Od życzeń wszystkiego najlepszego do życzeń śmierci w najgorszych męczarniach. Patrząc na tę scenę moglibyśmy iść w zakłady, że Mandy właśnie teraz w duchu życzy mu najstraszliwszych męczarni, ale jednocześnie przecież w najgłębszych jej pokładach tkwi pragnienie, by poczuć znowu uścisk jego mocnych owłosionych ramion i drganie koniuszka języka wokół sutka. Ale teraz, gdyby miała za sobą bandę portowych zbirów gotowych zabić za butelkę najpodlejszej whisky lub dwóch opłaconych według stawek zawodowców, którzy nie cofną się przed niczym, dałaby znak i potem z lubością patrzyła, jak znęcają się nad jego flaczejącym ciałem.

Ale my przecież nawet nie wiemy, czy w tej knajpie jest jeszcze ktoś prócz tych trojga: jej pijącej drinka, jego palącego papierosa i barmana, który być może jest najlepiej poinformowany co do podłoża tej nienaturalnej sytuacji. Nie wydaje nam się w każdym razie, żeby tłum zapełniał ten lokal. Nie ma tu wytwornych kobiet i szarmanckich mężczyzn ani też tłumy pijanych opryszków z okolicy, szukających mocniejszych wrażeń, których nie dają im przecież lektury najnowszych powieści i nudne żony, których starają się nie zauważać.

Ale oto teraz Lou Norman, jakby zdenerwowany zaistniałą sytuacją, chowa do kieszeni zapalniczkę i papierosy, a potem wychodzi z knajpy, nie patrząc nawet przez chwilę w stronę Mandy Cooper. Nie myślcie, że tak właśnie zachowują się prawdziwi twardziele. Tak zachowują się przestraszeni, poniżeni, ośmieszeni, ci, którym nie pozostaje nic innego, jak tylko ucieczka, bo teraz chyba już nie mamy wątpliwości, że oto Lou Norman ucieka i wszelki ślad po nim ginie.

A Mandy? No cóż. Od tamtego wieczoru jej też nikt nie widział. Według słów barmana dokończyła spokojnie kolejnego drinka i zapłaciwszy, wyszła z knajpy jak gdyby nigdy nic. Zarówno wokół niej, jak i Normana zniknięcia narosło wiele plotek. Niektórzy widzieli ją w Chicago u boku jednego z najpodlejszych skurwysynów, jakich nosi ta planeta, inni zaklinali się, że jest dziwką w podłym burdelu w Hongkongu, gdzie oddaje się bezzębny i chorym na syfilis złodziejom, a żeby nie uciekła, oszpecono jej twarz i uzależniono od opium, bez którego teraz żyć nie może. Inni przysięgali na głowy swoich dzieci, że wiedzie królewski przepyszny żywot u boku maharadży Kaszmiru, a u jej małych, kształtnych stóp ścierały się najgroźniejsze indyjskie tygrysy, zaś o szczupłe nogi ocierają się przymilnie węże z turkusowymi oczami.

Uważano też powszechnie, że ci, którzy naprawdę wiedzą, gdzie teraz przebywa, boją się otworzyć usta w panicznym strachu przed okrutną i bolesną śmiercią. Inni powiadają, że skończyło się to wszystko o wiele zwyczajniej niż konfabulują patologiczni kłamcy żerujący na łatwowiernych, lecz ograniczonych umysłach. Owi realisci są przekonani, że tamtego wieczoru Lou Norman, wyszedłszy z knajpy, zaczął się na Mandy Cooper w którymś z ciemnych zaułków, a gdy mijala jego kryjówkę, idąc niepewnym krokiem i myśląc o tym, żeby złapać jakąś taksówkę, zaatakował ją nagle, tak że nie miała nawet możliwości wydać z siebie krótkiego okrzyku, bo zatkał jej usta, a potem udusił. Nie widziała skrytej w mroku twarzy napastnika, ale poczuła jego zapach i wtedy zrozumiała, że to już koniec. Ciało wrzucił do wody lub poćwiartował i ukrył każdą jego część w innym miejscu albo zamurował w jednej z nie odwiedzanych przez nikogo piwnic pod ponurym, w dużej części opuszczonym domem, jakich wiele w tamtej niemiłej okolicy. A potem oczywiście wyjechał. Zmienił twarz i nazwisko. I nikt nie wie, jak umarł.

26.

FILM Z CYKLU "SŁYNNE KOCHANKI"

I teraz, kiedy siedzimy w śmierdzącej żółto-czarnej łodzi rybackiej, na dodatek wyciągniętej na brzeg i zabezpieczonej linami, hakami i klockami drewna, i siląc się na coś oryginalnego, tępo gapimy się na wschód słońca, jakby to była kiczowata widokówka, pozdrowienia z.... i tak dalej, w głowie łupie nie przespana noc, a kac zaczyna narastać, nagle pojawia się, pośród absurdalno-sztampowych dyskusji, którymi usiłujemy zatkać dziurę w burcie, by nie wlewała się mózgową wodą, taki oto problem: czy legenda Marilyn Monroe przetrwa przynajmniej tyle, ile wciąż żywy zachwyty nad urodą Nefretete albo Kleopatry. I pojawia się senność jak po trzecim piwie albo obfitym posiłku, a wraz z nią świadomość, że to wszystko zaczyna być żenujące. To, że na przemian kłamie i gadam od rzeczy, że wszystko skończy się złośliwymi komentarzami przyjaciół, którzy pomiędzy "jeszcze raz to samo pani Beatko" a "daj papierosa" po raz kolejny będą się znęcać nad coraz mniej oficjalną wersją wypadków, jest mniej straszne niż spowodowane zmęczeniem i alkoholem wynurzenia dwudziestotrzyletniego poety, który głośno zastanawia się, co to z nami będzie, tą młodą inteligencją, czy we współczesnym świecie warto być intelektualistą, choć ja w tym momencie myślę o zbliżającym się sezonie ligowym w piłce nożnej. Albo gdy przysypiam w pociągu i słyszę, jak mój przyjaciel uwodzi osiemnastolatkę opowiadając jej o tym, że miałem być księdzem, a teraz piszę książki i występuję w telewizji. Drzwi od przedziału zamykają się i oddziela mnie od nich nagle szyba i brudna firanka. Przez chwilę zastanawiam się, o czym mówią, a właściwie co on jej mówi. Oddalam godziny jak niepotrzebną już tego dnia służbę i znów próbuję przez trzy dni skutecznie odcinać się od świata, chronić przed telefonami automatyczną sekretarką, a później nagle rzucać się do klawiatury i wybijać na niej wszystkie znane numery, oczywiście nie mogąc się nigdzie dodzwonić. Wychodzę z domu, szczytowego osiągnięcia budownictwa wielkopłytkowego, idę na przystanek i rozpoczynam kolejną wyprawę autobusem. Na biegun północny, do jeziora Wiktorii, źródeł Amazonki, do tych wszystkich światów zaginionych, do miejsc znanych z albumów, atlasów, filmów przyrodniczych i geograficznych, ostoi dawnych cywilizacji, które jak nagle się pojawiły, tak nagle i tajemniczo zaginęły, zostawiając za sobą wielkie kamienne budowle, ołtarze ofiarne, mroczne świątynie, wraki wspaniałych galeonów na dnie ciepłych mórz, a nie wyciągnięte na brzeg dziurawe, śmierdzące łodzie rybackie.

27.

"PRETTYVACANT" SEX PISTOLS

Patrzcie, patrzcie, otaczają nas tajni agenci ubezpieczeniowi, funkcjonariusze lotnych brygad policji i straży miejskich, obywatelskie ligi do walki o spokój społeczny, puryści językowi i obyczajowi purytanie, grubi mieszczenie i wysuszeni wieśniacy, w morzu tylko czyhają śledzie-ludojady, atakują nas roje krwiożerczych muszek-owocówek, na każdym kroku czai się złe, złośliwe, przewrotne. Kierowcy miejskich autobusów, z psychopatycznymi uśmiechami uwożący ku nieuchronnej zagładzie znudzonych pasażerów, barmani nalewający do szklanek trucizny, kelnerzy ścierający krew z blatów stołów, bileterki w kinach rozdzierające beznamiętnie skrawki papieru, wszyscy rysujący horoskopy, którzy nagle prostują się znad magicznych rycin i spoglądają gdzieś w ograniczoną ścianą lub zasłoną przestrzeń, za którą znów niekorzystny układ gwiazd spowodował, że ktoś umrze akurat w najmniej odpowiednim momencie.

Wciąż zagrażają nam alkohole, nieświeże produkty spożywcze, zażywane bez umiaru paraleki, dekadentki wiersze i powieści postmodernistyczne, pewni swego mitomani, nadlatujące z obcych planet kosmiczne nimfomanki, oszalali nagle na punkcie religijnym sąsiedzi. Grozi nam niemożliwość wywiązania się ze zobowiązań, suchy kaszel, gorączka i zaburzenia ośrodków odpowiedzialnych za wszystkie doznania zmysłowe. Atakują budziki telefonów, napadowe bóle głowy i brzucha, niedowład wszystkich kończyn, nowe płyty lirycznych piosenkarzy, tłumne tańce na rocznicowych przyjęciach. Nawracają z regularnością natręctwa myślowe i ruchy mimowolne. Nieuchronne są też powroty do miasta po tygodniowych eskapadach, będących zupełnym zaprzeczeniem wakacyjnego wypoczynku. Były to czasy, gdy kobiety uciekały, słysząc nasze wulgarne przechwałki, gdy jedni sięgali po szklanekę z kolejnym drinkiem (wódka cytrynowa z tonikiem najlepsza na upał), a drudzy nabijali szklane fiki, krzycząc: zawołajcie tutaj tę dużą, jeszcze nigdy nie miałem takiej wielkiej kobiety. Inni zaś myśleli, jak tu skutecznie zdeprawować wszystkie okoliczne siedemnastolatki i zniknąć bez śladu, tak by zawsze już żywić się tylko wspomnieniem ich zapachu. Było to wtedy, gdy masowo ginęły zapalniczki i wciąż brakowało papierosów. I pokrzepieniem była wiadomość z "Timesa", że palenie to nie nałóg, ale rytuał i filozofia życia, i że papierosy są rozkoszą w jej negatywnym, bolesnym wymiarze i przedsmakiem wieczności. Więc jak tu nie pochłaniać dwóch paczek dziennie, wstając o dziewiątej i zasypiając o czwartej rano. Patrząc na morze, otwierając piwo, czując ten niewyobrażalny smak i zapach wieczności, kontemplując woń wyrzuconych na brzeg wodorostów, powoli gnijących jak nasze coraz lepiej poznające wieczność ciała.

28.

PRZEGLĄD STARYCH FILMÓW W NIE ISTNIEJĄCYM KINIE, DO KTÓREGO SWEGO CZASU CZĘSTO CHADZAŁEM

Znowu jadę, panicznie usiłując zebrać kilka krótkich, porwanych zdań w dłuższą, logiczną wypowiedź. Coś jednak ciągle mi się myli, wyrazy ustawiają się w nieodpowiedniej kolejności, za to ja poprawiam kołnierz płaszcza i wbijam się wzrokiem w błyszczące oczy Louise Brooks, która, wrzeźbiona w tramwajowy fotel, patrzy raz na miasto za oknem, raz na mnie, jakby szukając potwierdzenia dla swoich spostrzeżeń. Tak, to prawda, odpowiadam niechętnie, wszystko się zgadza, to miasto naprawdę tak wygląda, choć i tak dużo się zmieniło na lepsze, nie było cię tu nigdy, nie widziałeś tych ulic w poprzednich latach. Myślę, że dziś wygląda to zdecydowanie lepiej niż dawniej. Ja znam te dzielnice na pamięć, jeżdżę tramwajami i autobusami z jednej do drugiej, przeskakuję z nich jak mistrzowie olimpijscy pokonujący rów z wodą w biegu na 3000 metrów. Dokładnie znam miejsca, w których spotykają się ulice, wiem, gdzie nabrzmiewają z nich place i na których skwerach posadzono najwięcej kwiatów. Jednak dla zmylenia mnie i tych wszystkich, którzy je śledzą, jak idą

przed siebie, przecinając inne lub wlewając się niczym dopływy rzek w wielkie, szerokie aleje, niektóre ulice zmieniają co jakiś czas swoje nazwy. I tak ulica, która jeszcze wczoraj nazywała się na przykład Hortensji, dziś jest Kosmiczną, a dawna Starożytna zamienia się w Świetlaną Przyszłości. Trudno się więc nie zgubić na skrzyżowaniu Mahoniowej z Eukaliptusową, jeżeli tabliczki wyraźnie mówią, że to Gnozyjska przecina się z Nowego Wieku. I skwer, przy którym spotykałem się w szczenięcych latach z dziewczyną z równoległej klasy, nie nosi imienia Marco Polo, lecz Stevena Spielberga. Trudno byłoby teraz o te same wrażenia i emocje, które towarzyszyły tym prawdziwie niewinnym uniesieniom w kwiatnych dekoracjach. Nie dałoby się nadać im innego wymiaru.

Louise Brooks patrzy na mnie, sprawia wrażenie pojętnej, chociaż ja nie jestem przekonany co do efektów swojego szybkiego, nie przygotowanego wykładu. To wcale nie jest takie proste. Może nie da się żadną miarą przełożyć tych słów na uniwersalną mowę? Ale przecież nie ma uniwersalnej mowy, nie tylko klęska profesora Zamenhoffa jest tego dowodem. Mimo iż wraca moda na takie fryzury jak twoja, to jednak słucha się już innej muzyki, zmienił się skład chemiczny powietrza, poza tym, jak widzisz, wprowadziliśmy kilka udoskonaleń technicznych mających ułatwić nam codzienną egzystencję. Chyba przyznasz, że dajemy sobie nieźle radę? Myślę, że jesteśmy dość praktyczni, skuteczni, nie rzucamy się na słońce z motyką. Co to jest motyka? Nieważne, to po prostu takie porzekadło. Nic poza tym. Pragmatyzm, słowo-klucz do zrozumienia tego, co się tu dzieje. To prawda, jestem zmęczony i niewyspany. Ostatniej nocy nie spałem. Po prostu mi się nie chciało. Może dlatego, że z poprzednich snów ocknąłem się lekkim popołudniem, może dlatego, że ta noc, pierwsza od wielu miesięcy tak ciepła, zaskoczyła mnie nie przygotowanego i odcięła odwrót. Więc nie zasnąłem. Czytałem, czasami paliłem, lecz raczej rzadko, suchość w ustach, pragnienie raczej niż głód nikotyny. Więc piłem wodę i czytałem. Powieść pisarza, który nie żyje od dziesięciu lat, a jego popularność, jak mi się wydaje, powoli, lecz nieuchronnie spada. A musisz wiedzieć, że kiedyś był literackim bożyszczem lewicujących intelektualistów. Gdy ty powaląłeś wszystkich swoim ekranowym spojrzeniem, on był ledwo kilkunastoletnim smarkaczem latającym po przedmieściach metropolii. Mój ojciec był wówczas ministrantem w małym miasteczku, a rodzice mojej matki zaczynali poznawać smak papierosów i cudzej śliny. Później wymyślono telewizor. Tej nocy też udałem się do niego po ratunek, ale mnie zawiódł. Czekałem na słowa otuchy, a w zamian dostałem mieszankę reklam i informacji, które nijak nie mogły wpłynąć na moje życie. Kobieta o pociągłej twarzy i długich czarnych włosach pielęgnowała sztuczne paznokcie, gładko ogolony mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze przekazywał najnowsze doniesienia ze wszystkich frontów tej wojny. Znam je na pamięć, więc nie spodziewałem się niczego nowego. Wróciłem więc do książek, tak jak w myślach wraca się do dzieciństwa albo udanych wakacji. Mój pokój cały jest zawalony gruzem książek. To wszystko musi tkwić w mojej głowie, pomyślałem, już dawno temu wszystko mi się popieprzyło. Pociesza mnie jednak to, że więcej zrozumienia znajduję u kobiet, więc może właśnie dlatego ty jesteś tu obok i wciąż się uśmiechasz, a nie na przykład Bogart czy ktoś taki. Och, oczywiście, że mógłbym to wszystko zmienić - książki wyrzucić albo oddać, a w radykalnej wersji zamienić na opał, mógłbym sprzedać to i owo i wyjechać stąd w jakieś miejsce po prostu stworzone dla samotników, znaleźć swój Walden, żyć z tego, co wytworzy pielęgnowana moimi rękami ziemia, przestać wreszcie głupio się tłumaczyć, po prostu przestać się tłumaczyć, wyciąć bolesną narośl kultury. Poświęcić się spacerom, kontemplacji przyrody, obserwacji niezmiennego cyklu vegetacji, ciekawskiemu szpiegowaniu własnego ciała, które w sposób widoczny zacznie poddawać się prawom przemijania. Tymczasem nic z tego, wciąż tu jestem, wychodzę z nie istniejącego kina prosto w ciemność i kieruję się w bliżej nie sprecyzowanym kierunku.

OGŁADAJĄC W MTV TELEDYSK, W KTÓRYM WYKORZYSTANO FRAGMENTY FILMU "PUSZKA PANDORY".

Znów cię nie było. Jechałem do ciebie przez to całe nieszczęsne, żałosne, idiotyczne i zimne do granic zrozumienia miasto. Z postawionym na sztorc kołnierzem, w słynnym kapeluszu Humphreya Bogarta, ze zmarzniętymi dłońmi w głębokich kieszeniach płaszcza, cyklofrenicznie przeskakując z radosnej nadziei w ponurą głębię niewiary, przestawiając w myślach warianty optymistyczne ze skrajnie pesymistycznymi.

Podróż zacząłem od prawie pustego autobusu, który włókł się złośliwie przez mokre ulice, jakby chciał, żebym się spóźnił, podjeżdżał powoli do przystanku, przez chwilę stał, zanim otworzył drzwi, po ich zamknięciu odczekiwał chwilę i znów powoli ruszał. Kierowca, gdy widział zielone światło na zbliżającym się skrzyżowaniu, zwalniał, aż wreszcie zastępowało je czerwone. I tak traciliśmy cenne w końcowej rozgrywce minuty. Czas niemiłosiernie uciekał, dostając już zadyszki, odwracał się, na chwilę zwalniał dla wyrównania oddechu i znów przyśpieszał, znikając za rogiem. Goniłem go tramwajem. Ten zaś w przeciwieństwie do autobusu rozpędzał się co chwilę, by zaraz potem gwałtownie hamować. Podróżni przewracali się na podłogę, nawet ci na pozór mocno trzymający się poręczy, niektórzy spadali z foteli, po brudnej, zabłoconej podłodze toczyły się jabłka, pomarańcze i kartofle, twarze leżących przykrywały powoli opadające stronicze gazet. Tylko ja stałem nieporuszony, z wbitymi w podłogę stopami, z rękami w kieszeniach skórzanego płaszcza, którego tyle osób mi zazdrościło, poprawiałem na głowie kapelusz Humphreya Bogarta, trochę niedopasowany i przesiąknięty naftaliną. Bałem się, czy nie zarażę się przez kontakt z nim podstępny łupieżem albo którąś z perfidnych odmian grzybicy. Przeleżał w szafie ładnych parę lat, zanim go znalazłem - jakie procesy przez ten czas mogły zajść w jego materiale, nie mam pojęcia. Była tam jeszcze sukienka Marilyn, w której odgrywała tę słynną, zamienioną potem na okładki skoroszytów, fototapety i koszulki, scenę z powietrzem z tunelu metra. Ta szafa była światem niedzielnego programu o historii kina. Był jeszcze pukiel rudych włosów Rity, jedyna wciąż żywa jej tkanka. Włosy żyły, poruszały się, wiły między palcami. I były tam oczy Louise Brooks. Głębokie, lśniące bezprzyczynową radością, obrysowane czarną kredką. Niepokojący uśmiech skierowany właśnie do mnie. Wtedy w szafie, a może w jej lustrze umieszczonym między dwoma solidnymi skrzydłami drzwi, ujrzałem oczy Louise Brooks, z uśmiechem się we mnie wpatrujące. Spojrzałem na podpis pod zdjęciem - listopad 1928. Ten sam miesiąc co teraz, może nawet ten sam dzień. Miasto mimo chłodu i deszczu bawi się w najlepsze. Kabarety rozbrzmiewają głośną muzyką, meble uginają się pod ciężarem wyuzdanego bogactwa, wytrawne alkohole leją się strumieniami na rozpalone od erotycznych wizji głowy beztróskich młodzieńców, dręczonych nieuleczalnymi chorobami. Całe miasto, tocząc pianę z pyska, ochoczo dygocze w przedśmiertnych drgawkach. Skąpo odziane tancerki skaczą z chmur tytoniowego dymu wprost w tłuste ramiona spoconych bogaczy, którzy zapłacą im za powstrzymanie swego obrzydzenia. Jakiś archetypiczny wręcz suchotniczy młodzieniec będzie wystawał całymi wieczorami po drugiej stronie ulicy, by z cierpiętniczym upodobaniem wpatrywać się w piękną, kiedyś przelotnie, choć na pozór blisko, znajomą, teraz zwisającą na ramieniu wąsatego, uczernionego i pomadowanego właściciela manufaktury, w której maszyny urywają ręce z częstotliwością, z jaką ona oblepia go mokrymi pocałunkami.

W listopadzie prawie sto lat później maszyny wciąż urywają ręce, teraz sterylne i ze znieczuleniem. Miasto spływa mieszaną przetrawionego alkoholu i słodkich ciastek z bitą śmietaną, wypełniających luki po nie zrealizowanych pocałunkach. Miasto owija się kolorowymi bandażami neonów odbijających się w mokrym asfalcie ulic. Wszystkie kabarety i dancingi wraz z hotelami i drogimi restauracjami spłonęły w czasie ostatniej nie wypowiedzianej bitwy, jaka rozegrała się na głównych ulicach. W ocalałych z pożogi

podrzędnych knajpach zbierają się inwalidzi wojenni, opowiadający niestworzone historie z pierwszej linii frontu, w które można wierzyć lub nie, ale których nie da się sprawdzić. W błyszczących sztucznym brązem, syntetycznym mahoniem i tombakowym złotem modnych pubach nie ogoleni zgodnie z obowiązującą modą młodzi oszuści w skórzanych kurtkach i świeżo wyprasowanych spodniach zamawiają kolejne piwa, ich przedwcześnie starzejące się na skutek przedawkowania makijaży nastolatki malują długie paznokcie, nie zwracając uwagi na przechwałki młodzieńców i dochodzące zza rogu ulicy detonacje. Oszuści udają, że się nie boją, zamawiają następne kolejki, żeby zyskać na czasie i nabrać odwagi. Jednocześnie w myślach przeliczają pozostałe im pieniądze i próbują odgonić myśli, w których osuwając się wzdłuż ściany i zostawiając krwawy ślad, usiłują zatrzymać dłońmi wypływające z brzucha wnętrzności.

Rozglądam się bezradnie po twarzach zebranych nad chaotycznym zgrupowaniem szklanek i pozornie swobodnym krokiem wychodzę na zimną ulicę. Przygarbiam się, skupiam w sobie, poprawiam kapelusz Humphreya Bogarta i idę pod wiatr na najbliższy przystanek autobusowy.

30.

KONIEC SEZONU

Przyjemny wieczór. Jest dziesiąta z minutami. Triumfalnie wjeżdżam do miasta pustym pociągiem, stojąc beztrwosko z głową w dybach okna. Dłonie zwisają swobodnie na zewnątrz, zahaczam okiem o stacje benzynowe na przedmieściach, pierwsze bloki, płaty dachów hal i magazynów, zapełniające się o tej porze zajezdnie autobusowe, mijam bokiem perony kolejki podmiejskiej. Lekki wiatr na rzęsach, lekkie wirowanie w nosie, dziwny szum w uchu. W lewej kieszeni spodni mam dwie monety, które obracam palcami cofniętej teraz spoza okna ręki.

Jestem przyjacielem Carlosa, to ja odpowiadam za zamach bombowy w paryskim metrze. Jeśli tylko zechcecie, mogę odpowiadać za wszystkie zamachy, słynne zbrodnie, tajemnicze zniknięcia, mogę być ucieleśnieniem wszystkich waszych lęków i skrywanych nienawiści. Dla mnie to betka. Przyjechałem tu na wakacje, odpocząć po pracy, więc nie będę nikogo mordował. Chcę spać, jeść i spotykać się z kobietami. Podobno macie tu smaczne kobiety. Pijam wyłącznie wykwintne drinki i nie mam pobłażania dla nieudaczników. Potrafię ominąć z wdziękiem wszystkie pułapki i ująć z każdej obławy, jeszcze piękniejszy i jeszcze bardziej groźny. Będziecie się mnie jeszcze bardziej bać i jeszcze mocniej kochać.

Mam spokojny wzrok, nie rzucam cienia, nie odbijam się w lustrze, a moje dłonie mają zabójczą siłę. Może mi z hukiem wybuchnąć głowa albo głośno zwymiotuję lub oczy zapadną mi się w głąb czaszki, a może wypluję je zaraz potem jak piłeczki pingpongowe, ale ani na moment nie stracę zimnej krwi. Nie mam krwi. Być może jestem siedemnastym wcieleniem Jamesa Bonda, ten pociąg zaraz zamieni się w najeżoną raketami odrzutową łódź podwodną, z piękną zawodową morderczynią siedzącą obok mnie za sterami i kładącą mi rozgrzaną dłoń na udzie.

Jestem zrównoważony, zabójczo przystojny, mam niepokojący uśmiech. I jestem poza tym wspaniale umięśniony, pod drogą koszulą skrywam skromnie owłosioną klatkę schodową. Po tych schodach w ferii świateł, przy wtórce muzyki big-bandu, zbliżają się girdlaski z przedwojennej rewii. Mam je wszystkie, doskonale nieżywe, na wyciągnięcie ręki. Czuję woń przedniego tytoniu i bukiet wykwintnego koniaku. W nozdrza wsuwa mi się, niczym ektoplazma, smuga ciężkich perfum. Wjeżdżam bezszelestną windą na szczyt wysokościowca o nieskończonej liczbie pięter, poprawiam arcymodny krawat pod szyją i szybkostrzelny pistolet w kaburze pod pachą. Buty mi się błyszczą, tak jak powinny, w oczach mam

nieziemski blask, a w jamie ustnej śnieżnobiałe zęby. Mam piękny samochód, drogi zegarek i to coś, co tak trudno nazwać, a jest i ciągle wzrasta.

Gdy już się pięknie zestarzeję, wsparty być może na lasce z perłową gałką, a po domu poruszać się będę w gustownym tużurku, zacznę pisać o młodych dziewczynach w bibliotekach i tramwajach, ich dużych, smutnych oczach i długich, smukłych nogach, o tych próżno czekających na swoich kochanków, jadących na wyczekiwaną z drzeniem schadzkę, gdy ja będę jechał do specjalisty od schorzeń gastrycznych.

Na razie jeszcze, na przekór wielu, żyję; kończy się sezon i nadchodzą nieubłagane chłody. Powiniennem wreszcie zacząć dzwonić. Zamiast tego słucham, jak spiskują cicho magnetofon i telewizor. Między szybami okna pojawia się narośl pary, rano mgła zasnuwa ulice. Po niebie przesuwały się powoli ciężkie dywany ciemnych chmur. Pustoszeją kurorty i modne letniska. Niedawni wczasowicze wracają do domów i popadają w stare nałogi. Kończy mi się karta telefoniczna.

31.

PROGRAM Z NIEDZIELNEGO TELEWIZYJNEGO CYKLU "PODRÓŻE Z «NATIONAL GEOGRAPHIC» "

Idziemy ostrożnie, powoli, stopa za stopą, po śladach, jak Indianie, wzdłuż starego, przesiąkniętego zapachem dawno minionych wieczorów muru. Z uszami tuż przy wydartych przez rdzę oknach, brzdach między cegłami, wsłuchani w nierówne oddechy tych z przodu i tych z tyłu, w równy, głęboki i spokojny oddech czasu. Mięśnie pod elegancko, modnie skrojonymi uniformami drżą jak po dużym wysiłku fizycznym. Jak wtedy, gdy ładowaliśmy na sztangi kolejne obręcze, by popisać się przed dziewczynami, gdy robiliśmy dziesięć, sto lub milion powtórzeń na brzuch, bicepsy i motyle, gdy zwisaliśmy głowami w dół, krew wypełniała nam po brzegi czaszkę, a serce powiększało się i kurczyło coraz szybciej. Głowa wijącego się wzdłuż muru węża zatrzymuje się i reszta obłego ciała na kształt harmonijki skraca się i za chwilę sprężynuje, wydłużając do poprzednich rozmiarów. Wpadam głową w idącego przede mną, boleśnie uderzam zębami o jego zbroję, odrzucony siłą uderzenia cofam się o dwa kroki. Czyjeś ciężkie ciało bezwładnie wali mi się na plecy, usiłuje objąć mnie za szyję i pociągnąć za sobą. Zrzucam je z siebie i zdezorientowany przyklekam na jedno kolano. Spoconą dłonią wodzę po zimnym metalu. Czuję drżenie całego ciała, nagle przypląwy zimna i uderzenia gorącego potu. Dusi mnie seria krótkich oddechów, chwytam w dłonie wszystkie wspomnienia, pomysły na przyszły tydzień, łapię się za pas i kołnierz i stawiającego opór ciągnę za sobą. Zrywam się resztką odwagi, przebiegam skulony przez ulicę i potykając się, wpadam do najbliższej klatki schodowej. Ciężkie dyszenie i świst w płucach zagłuszają przyśpieszone bicie serca, tego słynnego kawałka mięsa, który równie dobrze może być befsztykiem jedzonym z sałatką z sosem winegret w przytulnej restauracyjce w jednej z bocznych uliczek najbardziej reprezentacyjnej dzielnicy tego miasta. Świeżość chłodu od kamiennych ścian, zimne piwo, cicha gitarowa muzyka. Przewodnik turystyczny błyszczy kolorową okładką tuż obok popielniczki. Fotografie i wierne ryciny najważniejszych zabytków, począwszy od epoki barbarzyńców po przesycony wyuzdaniem, wystawnymi ucztami i balami na tysiąc par wiek rozkwitu tuż przed wybuchem nie wypowiedzianej wojny. Model pierwszego tramwaju konnego, Jego Wysokość Księżę łaskawie patrzy na piękną szesnastolatkę, która jeszcze tej nocy będzie jego kochanką, zapala obłe cygaro. Młody rewolucjonista, który mógłby być jego nieślubnym synem z tego słynnego romansu ze znaną tancerką (całe miasto o tym mówiło, salony trzęsły się od perwersyjnych opowieści), umiera na suchoty, wypluwając na drewnianą podłogę swoje tkanki, myśląc jednocześnie o kucharce z naprzeciwka. Gromada turystów przelewa się jak

wielka kropla wody z jednego brzegu placu na drugi, tworzy wypukły menisk na gładkiej powierzchni.

Wyczuwam odpowiedni moment i przygarbiając się do jak najmniejszych rozmiarów, przebiegam przez ulicę, przeskakuję przez drgające, uderzające piętami butów o asfalt ciało w takim samym uniformie jak mój. Trzeba się gdzieś schować, przeczekać, odpocząć, wyrównać oddech. Piętnaście minut temu skończyło się poprzednie stulecie. Młody rewolucjonista wypluł z siebie resztki pożądania do kucharki i skonał w niespełnieniu. Jego Wysokość Książę znudziwszy się gładkolicymi szesnastolatkami strzelił sobie w łeb, wypijając przedtem całą butelkę przedniego koniaku. Służba nie płakała, były tylko pewne problemy ze ściągnięciem tego okazałego pierścienia, wrosłego w tłusty, pofałdowany palec. Jak można było przypuszczać, piękna szesnastoletnia zestarzała się szybciej niż jedzie konny tramwaj i zmarła, zanim przestała wierzyć w nieśmiertelność. Zostałem tylko ja. Spocony i rozdygotany, na odgłos nadjeżdżającego pojazdu chowam się w głębokie piwnice. Biegnę wąskim, betonowym korytarzem, łączącym wszystkie domy tej dzielnicy, czasami zatrzymuję się i cofam, słysząc powolne, ciężkie kroki nobliwych ojców rodziny, wynoszących kubły ze śmieciami, odpadki z ostatniej wieczery. Otwieram kolejne drzwi, pokonuję kilka zakrętów, z prawej strony bulgocze w rurach gorąca woda, która za chwilę obmyje i pomarszczy stare, zmęczone, od lat nie budzące niczyjego pożądania ciała. Przestrzeń gęstnieje, zapełnia się tropikalną roślinnością. Przedzieram się przez nią z coraz większym trudem, opędzam bojowym nożem od wysuwających się ku mojej twarzy długich, cienkich ramion, słyszę wyraźnie kłapanie szczęk mięsożernych roślin i szum jadowitych owadów celujących w moje oczy i szyję. Przedzieram się histerycznie, tracąc nadzieję i nagle ją odzyskując, pośród zawodzeń diabłów i indiańskich demonów Asturiasa. Pokaleczony i pokąsany, wychodzę na plac przed kościołem Sagrada Familia, który tylko przez przypadek stoi w tym mieście. Jego miejsce jest w środku południowoamerykańskiej dżungli, kilka dni drogi od brudnożółtej Amazonki. Czterdziestotrzyletnia kobieta wręcza mi ulotkę, na której dwóch wąskobiodrych morderców o podwójnych imionach pochyla się nad krwawiącym, konającym bykiem. Napis "Ne soyez pas responsable de la torture. Fuyez les corridas." Składam ulotkę we czworo, chowam powykręcanyimi palcami do kieszeni na piersi i poprawiając na ramieniu pas od automatu, nienaturalnie sztywnym krokiem wchodzę w dżunglę. Rondo australijskiego kapelusza wypełnia się równikowym deszczem. Błoto wymieszane z wodą spływa po twarzy krętymi strumieniami. Spomiędzy ogromnych liści wyłania się fragment azteckiej świątyni. Po wysokich stopniach piramidy spływa jeszcze ciepła, słodka krew przegranych wojowników i kobiet, które przyjmują to ze zrozumiałym dla tradycji ojców szacunkiem. Gdzieniedzie trzęsą się jeszcze w takt transowej muzyki wygrywanej na nieznanym instrumentach parujące serce i wątroba, przysmak dla wybranych. Jest niedziela, zbliża się pora obiadu.

32.

"ENCYKLOPEDIA PRZYRODNICZA" ROBI OSZAŁAMIAJĄCĄ I NIESPODZIEWANĄ KARIERĘ NA LISTACH BESTSELLERÓW

Może jednak rzeczywiście lepiej dramatycznie i lirycznie się upijać, by budzić się nad ranem z koszmarnym, tępym, rozdzierającym bólem głowy, uczuciem wylewających się ze skorupki oczu, z potworną suchością w gardle, płytkim oddechem i dziwną kobietą przy boku, na czternastym piętrze wieżowca prawie w samym centrum miasta. Pośród starych, rozrzuconych po podłodze pożółkłych gazet i w zapachu świeżej farby pomieszanej z dymem tytoniowym. I może lepiej, a przynajmniej bardziej widowiskowo, jest zostać wędrownym poetą nocującym zawsze gdzie indziej, w małych mieszkaniach urojonych przyjaciół i dziewczyn, od których trzeba będzie uciec, jak tylko się odwróci, by zrobić coś do jedzenia

lub przemalować swoją twarz, chyłkiem korzystać z telefonu wijącego się swym ogonem po podłodze i dzwonić o niezrozumiałej porze w nieważnej sprawie. Więc może przydałoby się zjeść potężne śniadanie i z nowymi siłami wkroczyć w sam środek mokrej od deszczu ulicy. A może spróbować wyrwać się na kilka dni nad morze? Mimo że to późna jesień i tak naprawdę trzeba jednak zostać w tym mieście i jeździć windą po wszystkich domach po tej stronie rzeki. Mylić piętra i mieszkania. Czekać na tramwaj, zmieniać autobusy jak fascynacje, przechodzić przez skrzyżowanie zamiast do innych wymiarów. Może lepiej nie podejmować już więcej z góry skazanych na klęskę prób wyjechania w podróż dookoła świata, a przynajmniej tej jego bliższej części. W końcu wszystko się zmienia, nawet to miasto, choć trudno w to uwierzyć, a poza tym co roku przyjeżdżają tu dziewiętnastoletnie piękności studiować przedmioty humanistyczne na przodującej w rankingach uczelni, więc można będzie wspiąć się na szczyty elokwencji, a wszystkie pieniądze wydać w knajpach i sklepach nocnych. Dziewiętnastoletnie piękności będą nam może przychylne, dopóki nie zwariują w bibliotekach i czytelniach, zanim nie zestarzeją się i nie zauważą z niesmakiem, że tak naprawdę to nikt z nas nie ma nic do powiedzenia, zanim nie trafią we włochate ramiona gwiazdorów telewizyjnych reklam lub nadętych publicystów i prezenterów quizów. Póki nie przestaną wierzyć skacowanym pracownikom naukowym Uniwersytetu deklamującym książkę telefoniczną najwybitniejszych humanistów w naszej galaktyce, nic się nie zmieni. A w tej galaktyce, według "Małej encyklopedii przyrodniczej" (wydanie z 1957 roku), gdyby przyjąć, że Słońce wyobraża duża świecąca kula o średnicy 1,4 metra, to wokół niej krążyłyby m.in. Ziemia jako wiśnia o średnicy 13 milimetrów w odległości 149 metrów, Saturn jako orzech kokosowy o średnicy 121 mm w odległości 1400 metrów, Neptun jako jabłko o średnicy 53 mm w odległości 4500 m, a Merkury jako ziarnko grochu o średnicy 5 mm w odległości 58 metrów. I Wenus znów jak wiśnia, Mars ziarnko grochu, Jowisz orzech kokosowy, Uran -jabłko. Co za paranoja, myślisz, jadąc windą na 14 piętro. Co mają do tego te wszystkie orzechy, ziarnka, jabłka i wiśnie. Gdzie na tej ciemnoczerwonej, prawie czarnej, soczystej i kwaśnej, kłującej w węzły chłonne wiśni ma się zmieścić ta dziewiętnastoletnia piękność, samochód z siedmioma osobami w środku, wsadzającymi sobie nogi w kieszenie i ręce pomiędzy nogi, wyłaniający się zza rogu sklep nocny i męczeńsko pokonujący skrzyżowanie autobus. To wszystko ma się znaleźć na tej wiśni? Znów zaskoczony przez zimę pług do odśnieżania, budka telefoniczna przy rondzie, wokół którego można jeździć przez stulecia, dworzec kolejowy i zajezdnia tramwajowa, wypalona kamienica, opuszczone dwory i wielkie blokowce pełne samotnych starców i wystraszonych deliryków. I to wszystko na jednej ciemnoczerwonej, cienkoskórej wiśni? Więc lepiej o tym nie myśleć, lepiej urządzać nocne rajdy przez miasto i maszerując o trzeciej nad ranem przez most na zamrożonej rzece, myśleć o następnym dniu. Przesiadywać w zadymionych pomieszczeniach wśród pijanych malarzy i grafików, zacierając ręce z zimna i uciechy, dyskretnie obmacując siedzącą obok uczennicę technikum krawieckiego, myśleć, niech to szlag, co za upadek, żeby to chociaż była artystka, albo przynajmniej ładniejsza. Więc pojedźmy wszyscy do mnie - słysząc takie zdanie, wypowiedane przez dawno nie widzianego uczestnika nocnych wycieczek sprzed lat, można mieć świadomość, że wszystko zaraz obrócić się może w proch spektakularnej zenady. Więc lepiej wydawać pieniądze na alkohol i egzotyczne zakąski i wracać pierwszym autobusem jadącym wzdłuż teraz odmarzającej rzeki, zasypiać na poprzedzającym własny przystanku i budzić się tuż przed końcem trasy, pośród wymarłych fabryk, tajemniczych hal i magazynów, gdzie opuszczony w ostatniej chwili autobus znika za zakrętem i spada z łoskotem w przepaść, niż jeździć taksówkami, tak by zdążyć do domu przed północą.

Więc co lepiej, co smaczniej, wygodniej, właściwiej? Czas, który jest dany, zmarnować w najbardziej zapamiętany sposób, biorąc pod uwagę, że jedyną formą naszego pozagrobowego życia będzie pamięć? A więc pamiętać o tym, żeby przynieść Hubertowi tę kasetę, odebrać od Magdy "Historię literatury staropolskiej", co będzie tym trudniejsze, że pod sprawdzonym przecież wcześniej numerem telefonu zgłasza się szorstki głos, któremu nawet trudno przypisać płeć, i zarzeka się, że nikt taki tu nigdy nie mieszkał. Potem zadzwonić, tak by wypełniła się nie spisana umowa z Jackiem. Wykonać nie przynoszące wymiernego efektu ruchy, półobroty, niskie podskoki. Kartkując "Encyklopedię przyrodniczą" z zadziwieniem skonstatować, jak bardzo zaskakujące są prawa świata zwierząt. Więc może jednak wieczory spędzać na lekturze, przewracając z namaszczeniem kartki grubej powieści, zachwycając się konceptem autora, lub zastanawiać się nad trafnością sądów zawartych w zbiorze błyskotliwych esejów i w duchu z nimi polemizować. W sobotnie popołudnie zamawiać w bibliotece, dajmy na to, "Idee" Stanisława Brzozowskiego (ta pozycja wpada mi do głowy jako pierwsza, gdy szukam jakiegoś wyrazistego przykładu) lub któryś z tomów poświęconych teoriom powieści (tu nic, prócz podstawowych podręczników akademickich, mi do głowy nie wpada), czy też lepiej kołysać się przy gitarowym wah-wah lub podskakiwać w rytmie ska i straszliwie fałszując, wyśpiewywać refreny przebojów, zamiast myśleć wciąż o tej wiśni, której skórka może w każdej chwili pęknąć.

33.

MELANCHOLIA, TĘSKNOTA, SMUTEK, ZNIECHĘCENIE

No cóż. Trzeba się chyba w końcu pogodzić z tym, że nieuchronnie zbliżamy się do wielkiej krawędzi i, jako żywo, nikt nie przeżyje. I choć daleko nam do pełnej świadomości wchodzących na szafot lub siadających na krzesle elektrycznym, to jednak przecież siedzimy w zbiorowej celi śmierci. Ale mamy jeszcze zacięte twarze, trzymamy zwarty szyk, nie rozklejamy się, właśnie odesłaliśmy kapelana. Nie uratują nas najnowsze osiągnięcia medycyny, naświetlania, laserowe cięcia chorych komórek, małe, łatwe do przełknięcia tabletki, wynik żmudnych wieloletnich poszukiwań i ciężkiej pracy tysięcy naukowców, którzy umierali jeden za drugim. Nie pomogą nam najprawdopodobniej pozostałości po eksperymentach wykonywanych przez straceńców gdzieś w kosmicznych stacjach badawczych albo biosferach, w szklanych namiotach cyrkowych, gdzie latami zmuszali się do przyjmowania zdrowej żywności, tych wszystkich ekologicznie czystych sałat, rzodkiewek, ogórków, kiełków pszenicznych, otrębów, soi. Nie, nie pomoże nam dieta cud, wymordowanie w sobie najmniejszych drobinek tłuszczu, płytek cholesterolu, wszystkich innych szkodliwych świństw. Żaden jogging, stretching, żadne ćwiczenia, od których pękają najmocniejsze druty w ciele, wszystkie pomosty żeber, kanalizacyjne rury żył, przęsła ścięgien, kładki chrząstek, gdy rozplątują się i na powrót zaplątują jelita grube, cienkie, średnie, serce jak kawał miecha wali w płucach coraz mocniej, szybciej, zwęża się zsymp gardła. Nie uratują nas pogańskie zioła ani chemikalia z przyszłościowych laboratoriów, homeopatia ani akupunktura. Sprawa jest prosta, lepiej się z tym pogodzić, niż robić sobie nadzieję, płonne złudzenia, zapalać świeczki ofiarne, przelewać wodospadami pieniądze na zbożne cele, obiecywać sobie, Bogu i wszystkim wkoło poprawę, zmianę, powrót do źródeł, do korzeni, rozpoczęcie wszystkiego od nowa, jakby nie było tych lat wcześniej, jakby się liczyło na błogosławieństwo, popierające poklepywanie po plecach, braterską dłoń na ramieniu, pocałunek na drogę. Co jeszcze? Może jakieś drobne, datek pieniężny, drugie śniadanie, darmowy bilet. Jakby to wszystko miało służyć za egzorcyzmy, wypędzenie tego, co już w nas tak wspaniale się zakorzeniło i teraz kwitnie, zapyla się, posiewa, rozrasta. To, co w sobie pielęgnowaliśmy przez stulecia, gdy zmieniały się rządy i obowiązujące religie, a my to trzymaliśmy wewnątrz, podlewaliśmy, pieliliśmy, wzbogacaliśmy glebę, choć

oczywiście nie z pomocą sztucznych nawozów. Oto niepokalana natura, samo doskonałe zdrowie, choroba też musi być czysta, ekologiczna. Ekologiczny rak i guz mózgu wielkości piłki tenisowej, ekologiczna białaczka, naturalny Alzheimer, nie, nie żadna tam atrapa, wszystko prawdziwe aż do bólu. Szkoda mówić, szkoda czasu na jałowe dyskusje. Mamy go coraz mniej. Rozrasta się w nas ta piękna choroba, zaraz eksplodujemy, to będzie po prostu wielki wybuch, wielkie traasach i rozpadniemy się tak, że nie będzie czego zbierać, a nasze krwawe resztki będą po utartych trajektoriach krążyć w kosmosie wraz z kawałkami satelitów. Tak więc, póki jeszcze jesteśmy w miarę skondensowani i potrafimy za pomocą sygnałów z mózgu sterować swoimi kończynami i na dodatek werbalizować myśli, co, jak sądzę, wkrótce stanie się niemożliwe, pomówmy o czymś intrygującym. Patrzcie: skaliste góry kwitną morską zielenią, wody oceanów rozstępują się i ukazują kolejne Atlantydy, jeziora zdradzają straszliwe tajemnice swych głębin, z lasów wychodzą ukryte w nich wielkie mityczne potwory, niebo coraz szybciej zmienia kolory i rozciąga się jak kisiel. Teraz jest dobry czas, żeby sprokurować sobie ostatni dzień z życia, naprawdę - niezapomniany fajerwerk.

34.

TRIUMFALNY POWRÓT BRZMIENIA MANCHESTERSKIEGO

The Charlatans to naprawdę świetna nazwa dla zespołu. Myślę, że równie dobre są też takie jak Stone Roses czy Happy Mondays. To rzeczywiście dobra propozycja na te dni, które się wokół nas kręcą jak natrętne dzieci. Jakie cukierki moglibyśmy im dać, żeby nam dały wreszcie spokój? Na razie siedzę, udaję przed sobą, że prowadzę jakąś grę, w rzeczywistości nie znam żadnych reguł, podług których mogłaby się takowa gra toczyć. Mam w sobie tylko małe ogniska bólu przypominające, że tam w środku wciąż jest żywa tkanka, więc porównanie do wielkanocnej wydmuszki należałoby uznać za nietrafione. Rdzewieję, psują mi się jakieś zawory, poluzowują śrubki, przede wszystkim jednak zżera mnie korozja niepewności, ona jest rzeczą najpewniejszą. Moja inwencja też się już skończyła. Nie ma we mnie siły buldożera, jest tylko niezdecydowanie i perspektywa nadciągających kłopotów natury stomatologicznej.

Mieliśmy porozmawiać, mówi siedząca naprzeciw dziewczyna. No nie, tylko nie to, błaga mój duch opiekuńczy. No to zamówię jeszcze jedno piwo, mówię, by zyskać na czasie. Oto meandryczność myślenia, w nim się gubię, zapadam. Więc wtedy, w kuchni, zaczyna dziewczyna i już wiem, że chcę, by przestała. Uwielbiam wszystkie kuchnie świata, w nich rodzą się rewolucje, mówię, bo w niejednej kuchni bywałem. Byłeś tak pijany, mówi dalej ona, że chyba nie wiesz, co robisz, więc pytam się ciebie teraz: czy każda kobieta jest dla ciebie tylko dobrym towarem do zerznięcia? Nie, absolutnie nie, tylko te, które mi się spodobają, odpowiadam, choć właśnie w tej chwili nie podobają mi się już żadne kobiety. Żeby was uspokoić, nie podobają mi się też mężczyźni. Ani dzieci, ani zwierzątka, nie pociąga mnie nawet wydrążone jabłko ani gumowa lala. Podoba mi się tylko czekolada z orzechami, tylko ją potrafię smakować aż do bólu. Ale i tak muszę tam iść, trzeba podlać paprotkę. Ta jesień jest zniewalająca. Paraliż lewej nogi nie pozwala chodzić, paraliż rąk i mowy nie daje dzwonić. Od wczoraj tak dużo liści spadło na moją głowę, powinienem chyba zacząć chodzić w kasku, może w kevlarowym hełmie i kamizelce liścioodpornej. Więc chodźmy podlać paprotkę, mówię do niej. Jest tam dużo płyt. Puszczę ci którąś z nich. Chodź tam, właśnie ze mną, ja tu jestem, mam cztery nogi i dziewięć rąk, potrafię prześcignąć lamparta. Kiedy podnoszę słuchawkę telefonu, to tak jakbym dźwigał cały świat. Nic z tego, mówi ona, dziś nie jest ten dzień, dzisiejszego dnia nie ma, mnie nie ma i dzisiejszego dnia ty mnie też nie będziesz mieć, lepiej wróć do domu.

Więc wracam, jadę do domu autobusem przez most. Po lewej stronie mam kominy jednej elektrociepłowni, po prawej stronie mam kominy drugiej elektrociepłowni, a pode mną wielka wymiocina rzeki. Jest późne popołudnie, słońce kładzie się naleśnikiem na dachach wieżowców.

35.

"PLAY FOR TODAY" THE CURE

Wąska, wydeptana alejka, trawa równo przycięta, żadnych śmieci, drzewa ostrzyżone według najnowszej mody. Ten mężczyzna w długim rozpiętym płaszczu ma przed sobą niewiele życia i pełną tego świadomość. Idzie idealnie dopracowanym krokiem, patrzy daleko przed siebie, a mimo to jego stopy nie zbaczą z alejki. W takiej chwili, kiedy ta świadomość staje się tak natrętna, można tylko patrzeć daleko przed siebie, jakby wyglądając powrotnego statku, wielkiego sterowca, który powinien lada chwila pojawić się na szarym niebie, taki tłusty i piękny, lekki jak aluzja, jednocześnie ciężki jak kamienny posąg długouchego z Wyspy Wielkanocnej.

Jeszcze nie dożył do Bożego Narodzenia, a już mu się marzy Wielka Noc. Marzą mu się wszystkie noce. Letnie, duszne, lepkie, w betonowych celach śmierci, te w ciasnych namiotach, gdy leży się nago na rozsuniętym śpiworze i może nawet słyszeć delikatne mlaskanie niedalekiej wody, albo te zimne, straszliwie zimne noce w nieumeblowanym mieszkaniu pod cienkim kocem, ale za to z kobietą, paląc, a jakże, wspólnego papierosa, jak na filmach. Jak na europejskich filmach, gdzie jest zawsze tak straszliwie zimno, a kobiety mają bladezielone ciała i nagle w środku nocy siadają na łóżku, podciągając pod brodę kolana i długimi, chudymi rękami obejmują cienkie, krzywe nogi. A za oknem żenująco mrugają jakieś neony, a może nic nie mruga, za oknem nic nie ma, tylko niepokój moralny, oczywiście ten cholerny moralny niepokój, egzystencjalny lęk w ogromnym anonimowym blokowisku z punkcikami świateł, jasnożółtych, ciemnożółtych, czerwonych i niebieskich odbłasków telewizora. Nieustająca niepewność, strach narastający wieczorem, trudno się zadeklarować nawet co do przyszłego tygodnia. Są dwa wyjścia. Albo rzucić się przed siebie, pazernie, łapczywie, rozgrzebując palcami ziemię, wyciągnąć się z tej ziemi za bezwładne kończyny, albo spokojnie, absolutnie w sposób stoicki spokojnie, pokazać wyrozumiale swój pogardliwy stosunek do świata. Ignorować przerażający ryk potwora, który rozdziawia swoją obleśną, śmierdzącą gnijącym mięsem gębę.

Mężczyzna idzie alejką, krokami odlicza drogę ku śmierci, mija kobiety i innych mężczyzn. Stara się o nich nie otrzeć, jakby w obawie, że zarazi ich swoją śmiertelnością. Tak, wspomnienia wracają, wspomnienia zawsze wracają, wspomina powroty wspomnień. Pogoda jest wciąż niepewna, jej nigdy nie można wierzyć. Wygląda na to, że za chwilę zacznie padać, niepokojąco szumi w liściach i niebo ciemnieje. Wszystko się wspomina, odbija nieprzyjemną czkawką, siedzi wielkim gorącym kamieniem na żołądku. Powracają stare i nowe miasta, sklepowe pasaży, jazzowe kluby, żelazne mosty, próchniejące drewniane ławki, krzywe drzewa, place z pomnikami pomniejszych bohaterów. Coś trzeba z tym zrobić, skoro i tak nie da się tego wysadzić w powietrze jednym pstryknięciem palca. Palce nie są już takie sprawne jak kiedyś, działają zazwyczaj z opóźnieniem, nie należy im ufać. Tak jak pogodzie, która znów zwodzi, tak jak ciału, które zwodzi tym chętniej, tak jak myślom, które zwodzą najbardziej. Mężczyzna patrzy w niebo, a tam nikogo, ani wspomnianych kobiet o zieleniejących nocą ciałach, ani wielkiego sterowca, i nie spada właśnie żadna planeta, i żaden straszny krzyk nie rozdziera starego płótna kosmosu.

36.

AMBIENT, MUZYKA KOSMOSU

Znowu ta sama mocna herbata liściasta w tym samym kubku, fajansowym mierniku przemijalności z uchem. Na ściankach kubka i wewnętrznej stronie zębów, gdzie niechętnie dociera włosie szczoteczki, gromadzi się herbaciany osad. To samo, znów nie umyte w kolejną niedzielę okno na świat z zepsutymi zawiasami lufcika i po jego drugiej stronie leniwy autobus na mokrej od posobotniego potu ulicy, powoli, z ociąganiem dojeżdżający do przystanku. Doczesne szczątki szarego śniegu na rozkładającej się z okropnym smrodem trawie. Wypalone zapałki drzew i pomiędzy nimi lawirujący kolorowy wózek z krzyczącym w środku dowodem na wyż demograficzny, efektem naprawdę dobrej zabawy, alkoholu i wolnego pokoju, którego intymności, odganiając natrętów, pilnował lojalnie najlepszy kumpel.

Wszystko jest magią zaklętych liczb, mówię, wystukując skomplikowany układ cyfr na tarczy telefonu, ale słuchawkę trzymając na bezpieczny dystans. Oto co jest, a co trudno ruszyć: nie napisany list, nie narysowany plan podróży, krępująca ruchy niemożność przeprowadzenia tej rozmowy, przypominającej raczej kolejną rundę negocjacji pokojowych, jakie pokazują codziennie w telewizji.

Za firanką, starającą się zamaskować brud szyby, na czterokolorowym niebie kochają się z godowym brzęczeniem dwa helikoptery, obserwowane z dreszczem nieznanymi emocjami przez pozaziemskich podglądaczy odwiedzających czasami tę okolicę.

Wiesz, o co chodzi, mówię do słuchawki, która aż strzyże uszami, szykując się na następną wielominutową rozmowę o popularnonaukowych artykułach przeczytanych w tygodnikach z czerwonymi okładkami i winietami. Powtarzalność światów albo ich równoległość... oto, co mnie męczy, gdy widzę, jak z maniackalnym uporem podejmuję kolejne błędne decyzje.

Pomyśl, mówię w plastikowe sitko, że w tej chwili ta sama rozmowa odbywa się w identycznym mieście, ileś tam milionów lat świetlnych stąd. Drugi ja, naprawdę taki sam, z tymi samymi śladami przebytej ospy, taki sympatyczny i dowcipny, mówiący to samo tym samym ciepłym, choć lekko chropowatym głosem, w tym samym, pachnącym płynem do płukania delikatnych tkanin ubraniu. Ten sam telefon z kościosłoniowego plastiku, ci sami kochani znajomi. Albo kilku mnie, takich samych: pięciu, dziesięciu, mówiących to samo w to cudne popołudnie do zadziwiająco cierpliwych słuchawek. Albo inaczej: regularna powtarzalność tych samych sytuacji, życie jak przepis na szarlotkę powielone w kilkuset egzemplarzach i wyływające na jeszcze ciepłych kartkach formatu A-4 z rozgrzanych wnętrzości kosmicznego kserografu co parę galaktycznych wiosen. Pomyśl: my tutaj (młodzi, czy raczej w średnim wieku?), ta długa, nieważna rozmowa, helikoptery, a potem nagła hibernacja, raczej w zarobaczonej ziemi niż w lodówce, oczekiwanie na jakiś, mniejszy lub większy, wybuch, gigantyczna maselnica, w której urabia się ciasto planety, skrzeczące pterodaktyle, neandertale jak na rycinach, przygarbione, zaczynające odróżniać się od zwierząt poprzez próby wytwarzania narzędzi, a potem my. Jakby nigdy nic, ja ze swymi śladami po ospie i głupawymi anegdotami w zanadrzu, ty ze swoimi irytującymi pretensjami, a obok nas przepływają chmury i samochody, mijają kolejne stracone soboty i niedziele, święta pełne jedzenia i zmarnowane wakacje, nie wiadomo po co przeczytane książki, które szybko się zapomina, żeby zrobić miejsce dla następnych. Znów ktoś będzie musiał wynaleźć telefon i helikopter. Będzie ciepło, wiosennie, choć przez brudną szybę trudno się zachwycić ekshumacją przyrody. Z kolorowego wózka da się słyszeć krzyk dziecka, który za chwilę ustanie i powtórzy się znowu, za ileś tam lat świetlnych, w tym samym miejscu. I znów, jakby na skutek starej, zawinionej przez przodków klątwy, będę musiał wykręcić te kilka cyfr, z nadzieją, że nikt nie odbierze.

Siedzi w wagonie restauracyjnym, powoli popija, parząc sobie wargi, gorącą czekoladę, odmierza małymi łykami mijane za oknem drzewa, słupy, pojedyncze domy, porzucone na bocznych torach jak spalone czołgi stare wagony towarowe, prowincjonalne stacje z brudnymi, odrapanymi budynkami dworców i zepsutymi zegarami na peronach. Z głośnika w ścianie pulsuje obowiązkowa muzyka. Mogło być gorzej, ten zestaw dźwięków nawet całkiem pasuje do tej podróży, myśli, pociąg ekspresowy gwarantuje komfort, punktualność i satysfakcję. I jak tu nie wierzyć reklamowym folderom rozrzuconym w przedziałach niczym ulotki wzywające do zaprzestania dalszego oporu i złożenia broni.

Jedzie więc, popijając stygnącą czekoladę, wpatrując się w mijane za oknem drzewa, słupy i domy. Uwielbia podróżować, ale raczej na krótkich dystansach. Znajduje przyjemność w zaskakującym wpadaniu na jeden dzień do obcych, jeszcze nie poznanych miast, kupowaniu w kiosku lokalnych gazet i planów miast. W przypadkowych kawiarniach zamawia czekoladę na gorąco albo herbatę, może coś do przegryzienia, zapycha się mdlącymi ciastkami, śledzi na rozłożonych planach linie tras tramwajowych, później włóczy się po śródmieściu, uskakuje w boczne uliczki i dociera do niechętnie przez turystów odwiedzanych dzielnic, posiada na placach, ogląda dziewczyny przychodzące na umówione spotkania pod pomnikiem lub w modnej kawiarni.

Jest kurierem, tajnym łącznikiem między wymyślonymi światami, ma te wszystkie swoje małe sekrety schowane w wewnętrznej kieszeni kurtki. Kiedy przechadza się po promenadzie lub tłumnie uczęszczanym deptaku, upaja się swoją anonimowością. Z przyjemnością patrzy na ładne fasady domów, kryjące w sobie pokoje pełne muzyki i perwersyjnego seksu, ponieważ jest koneserem pięknej architektury i tę właśnie sztukę uważa za najpiękniejszą. Odwiedza też nieodgadnione peryferyjne blokowiska, do których jedzie się przez nie uprawiane pola, tak jakby już opuściło się miasto. Liczy wzrastające i malejące numery bloków, usiłując znaleźć w nich kabalistyczną mądrość.

Wraca do przedziału, zataczając się trochę w korytarzu, gdy pociąg lekko zarzuca. Gdy siedzi w wagonie restauracyjnym, zawsze towarzyszy mu niepokój, że właśnie wtedy, gdy on popija czekoladę na gorąco, ktoś myszkuje w jego bagażu, instaluje podsłuch lub maleńkie kamery mające za zadanie rejestrować każdy jego ruch. Ale oto jest już na miejscu, pod pozorem wyjęcia z torby gazety sprawdza, czy wszystko jest w takim porządku, w jakim było. Może trzeba było zostawić tylko przez siebie odczytywalny znak, na przykład przyciąć zamkiem torby trudno zauważalną nitkę. Siada uspokojony przy oknie i znów patrzy na to, co jest wzdłuż torów. A wzdłuż torów rurociągi, domociągi, a nad pociągiem chmurociągi. Jego pociąg: do kobiet, muzyki i krótkich podróży. Woli trzygodzinne rajdy ekspresami, choć nie unika całodobowych podróży rejsowymi autokarami przez pół kontynentu, kiedy ma okazję poznać europejską kulturę przy autostradowych stacjach benzynowych, zabijając czas muzyką z walkmana albo zbyt uważnie wpatrując się w infografiki w gazetach i tygodnikach w nadmiarze zabranych w podróż.

Bada wzrokiem konsystencję powietrza, gęstość chmur, sięga po modną powieść. Cały świat zwariował na punkcie nowej książki, promocje, wywiady, recenzje, to najważniejsza książka dekady, słyszy i czyta codziennie. Nieprawda, najważniejszy jest ten pociąg, list, który wiezie włożony w kartki notesu, między papierosem na korytarzu a czekoladą w wagonie restauracyjnym zapełnianego impresjami z podróży. Jest tajnym szpiegiem przemierzającym wrogi kraj w poszukiwaniu bezcennych informacji, które później przerabia na rozmowy telefoniczne i solone orzeszki do piwa w zadymionym pubie.

Próbuje się skupić, podobnie jak starszy mężczyzna z uwagą studiujący kolumny ekonomiczne opiniotwórczej gazety, która dzień po dniu niszczy mu nerwy, bezwzględnie informując o hossach i bessach na giełdzie, załamaniach rynku, nagłych zwrotach koniunktury, chwiejnej sytuacji w rybołówstwie, budownictwie, energetyce. A można

przecież podniecać się rozwojem przemysłu kosmicznego, międzygalaktycznymi pociągami, wzrastającą modą na międzyplanetarne podróże weekendowe, popularnością wirtualnych kurortów, w których czarodziejskie góry wyrastające obok moło w modnym mieście Zoppot oferują spokojną śmierć z nadzieją na mały romans przed zejściem, lecznicze wody, lasy specjalnie przystosowane do refleksyjnych spacerów. Ten pociąg robi się coraz bardziej nierzeczywisty, dziewczyna, która zajeżdża do przedziału ze swoim czerwonym pojazdem, oferującym gorące i zimne napoje, słodycze i kanapki, wydaje się wyjęta z kontekstu, jej głos proponujący kawę lub piwo mógłby być zaśpiewem muezina zawodzącego z wieży meczetu. Nikt jej nie słucha, więc odjeżdża w głąb korytarza, na końcu którego widać światło informujące, że toaleta jest zajęta.

Tory rozwidlają się jak węzowe języki, rozdwiają się wyobraźnia, znów pojawia się zupełnie nieważna stacja o absurdalnej nazwie. Coraz mniej jest dnia, mniej czasu, świat się boleśnie zawęża, ciśnienie, zgniata jak ruchome ściany w przemyślnej pułapce, w jaką wpadają bohaterowie filmów przygodowych. Przez okno widać teraz lasy, ale w tych lasach nie żyją już ani zbóje, ani partyzanci, zapewne nawet nie dokonuje się samosądów. W tych lasach nie ma już nic. Dźwięk pytania o godzinę nie dociera do mężczyzny, który z kolumny ekonomicznej przerzucił się na kolumnę prawniczą i teraz uważnie studiuje nowe projekty ustaw, zakazów, nakazów, śledzi komentarze specjalistów, jakby to naprawdę mogło przedłużyć mu życie lub zwalczyć chorobę córki.

Po lewej stronie rozpościerają się bezgranicznie kartofliska, po prawej podmokłe łąki, na wprost szczyrzy zęby stacja docelowa. Mężczyzna podnosi głowę znad gazety, jeszcze osiemnaście minut, mówi zdecydowanym głosem.

38.

"EVERYDAY IS LIKE SUNDAY" ŚPIEWA MORRIS SEY

Oczywiście, oczywiście, mówi, no to na razie. Odkłada słuchawkę, podchodzi do okna i patrzy na nieprzerwany ciąg samochodów sunących ulicą, na powoli posuwające się autobusy, patrzy na jadące jeden za drugim tramwaje, świecące nienaturalnymi kolorami neony, patrzy na sklepy, kawiarnie, reklamy. Co za miasto, myśli, podciągając opadające spodnie, da się tu żyć, czasami nawet całkiem przyjemnie, ale czasami naprawdę można się pociąć. Jest wczesny wieczór, jeszcze tyle może się zdarzyć. To niezły materiał wyjściowy na scenariusz do kultowego filmu, uznaje. Wstrząsający, a w każdym razie dający do myślenia obraz kolejnego straconego pokolenia na tle przemian społeczno-politycznych. Lęk końca wieku, ponownie narastający, po latach uspokojenia, strach przed bombą nuklearną, nabierające powoli kształtów, jeśli nie realnych, to w każdym razie bardzo prawdopodobnych, wizje zbliżającej się zagłady, światowego głodu i bezrobocia. Frustracja młodych wchodzących w życie bez przyszłości, w świecie, w którym nawet seks nie jest ucieczką. Stechnokratyzowane społeczeństwo w poszukiwaniu cudownej pigułki, przepowiednia, że po straszliwej katastrofie pozostanie na Ziemi tylko dwadzieścia procent populacji, która ma szansę zacząć nowe życie. Na scenariuszach można zarobić niezłe pieniądze, rozmarza się. I zacząć nowe życie, dodaje.

Włącza magnetofon i udaje się do łazienki, by umyć wannę i napuścić do niej gorącej wody. Leave me alone, I was only singing śpiewa w pokoju Morrissey, a on wraz z nim, przewracając oczami i gibając się w rytm muzyki przed łazienkowym lustrem. Na karaoke by się jednak nie zdecydował. Co innego w samotnej intymności łazienki szczyrzy zęby do lustra i kręcić biodrami albo ryczeć w zbiorowym pijackim śpiewie po wyjściu z knajpy, a co innego jęczeć fałszywie do mikrofonu przy zgłuszonym wokalu. W dodatku każde naśladownictwo musi być żenujące, szczególnie takiego Mozera. Jest mu w stanie wybaczyć wszystko, nawet posądzenia o faszyzm, i śpiewać razem z nim England for the English.

Mistrz doskonałej samotności. Vm so sorry. Nie ma sprawy. Idzie zobaczyć, czy woda się nie przelała. Wskazującym palcem prawej ręki sprawdza jej temperaturę. W sam raz. Za chwilę zanurzy się w niej z rozkosznym pieczeniem ciała na przynajmniej pół godziny.

Z wanny wychodzi oczyszczony. Są chwile, gdy chciałbym to wszystko rzucić w cholerę i powrócić do starych czasów, mówi do siebie. Ale może jest jakaś możliwość. Let me see all my old friends. Czekać na mnie, już idę, zaraz znów wszyscy będziemy razem, woła. I każdy dzień będzie niedzielą, ale nie taką, o jakiej śpiewa Moz, nie szarą i smutną. Każdy dzień będzie niedzielą wybuchającą kolorowymi ogniami, każda niedziela będzie zabawą, śpiewem, jedzeniem, miłością, a może nawet wiarą, choć to najmniej prawdopodobne. Owinięty ręcznikiem chodzi po mieszkaniu w poszukiwaniu suszarki i rozważa warianty stroju, zostawiając za sobą mokre ślady, niczym domowy, oswojony człowiek śniegu, przystosowany do ciągłych zmian pogody i temperatur. Człowiek wiosennego deszczu, człowiek letniego upału, człowiek jesiennego wiatru, człowiek zimowej zamieci. Człowiek oszalałego tłumu i człowiek samotności. Oto ja, mówi, zrzucając ręcznik, patrzcie, taki jestem. Tłum wyje.

Stoi na środku pokoju. Po jego ciele spływają ostatnie krople, czas leniwie ścieka po ulicach, pośród kół samochodów i autobusów znajduje drogę do studzienek. Powoli zapełniają się kawiarnie, kluby i prywatne mieszkania. Wraca do kuchni, otwiera lodówkę i czegoś w niej szuka. Nie ma nic do żarcia, mówi do siebie, z przykrością konstatując obecność jedynie butelki keczupu i słoika ogórków konserwowych. Wraca do pokoju. Aaa, zapomniałem odsłuchać sekretarkę, myśli, patrząc na migającą czerwoną diodę. No to pokaż, jakie masz dla mnie sekrety, szepce do niej czule i delikatnie wciska guzik. Jest piątek, godzina osiemnasta, dziś wieczorem wszyscy spotykamy się w klubie, może byś wpadł. Jest piątek, godzina osiemnasta z minutami, robię imprezę, może byś wpadł. Jest piątek, dochodzi dziewiętnasta, mam nadzieję, że wpadniesz. Jest piątek, godzina dziewiętnasta z minutami, zaraz chyba zwariuję, mówi do siebie, rozkładając na podłodze plan miasta. Oto moja podróż po złote runo, tędy popłynę, decyduje. Patrzy na schematyczny rysunek miasta. Rozpościerają się przed nim bezbronne szerokie, nabrzmiałe główne arterie, z brzękiem krzyżują się skrzyżowania, wykonują skomplikowane figury rondo, rozkładają się place, odchodzą strumyki bocznych ulic, długie i wąskie, przeplatają się ze sobą linie autobusowe, rozjeżdżają się z jednego skupiska we wszystkie strony tramwaje. Ich dziwne numery, jakby nie były przypadkowym wymysłem kogoś, kto urzędowo zajmuje się piętnowaniem liczbami środków transportu miejskiego, ale magicznym zapisem za pomocą cyfr jakiejś informacji, może dla lądujących kosmitów. Może, gdy trójka i siódemka miną się o określonej porze, wybuchnie powstanie, spadnie meteor lub nadejdzie dawno zapowiadany mściciel, a może wypełni się to, co obiecują od dawna kolorowe ulotki rozdawane w najruchliwszych miejscach miasta. Przecież musi się zdarzyć coś, co sprawi, że każdy dzień stanie się niedzielą, a każda niedziela będzie ostatnią.

No więc najpierw na północ, przypomina mu się, że powinien podjąć jakąś decyzję. Tam spędzę dwie godziny, później wrócę do centrum, tam, powiedzmy, trzy godziny, później trzeba będzie pojechać na to peryferyjne osiedle, godzina powinna wystarczyć na trzy drinki i zaznaczenie swej obecności przez udział w zażartej dyskusji polityczno-literackiej mającej miejsce w kuchni, między lodówką z wódką a kuchenką, na której gotują się jajka na twardo i woda na herbatę. Potem powrócę do centrum i dokończę zabawę. Ostatecznie zakończę wszystko o siódmej rano. Światowe życie, można powiedzieć, cieszy się. Last of the famous international playboys podsumowuje z głośników rozważania Morrissey.

Sobotę rozpoczyna bez kąpieli, ale za to od grzanek i lektury prasy. Wracając do domu zrobił zakupy - bułka, masło, żółty ser i gazeta. Teraz keczup się przyda. Ogórki muszą poczekać na lepsze czasy. O obiedzie pomyśli później. Może zje coś na mieście albo wpadnie do rodziców, zawsze chętnie go dokarmią. Popatrzcie tylko, co się dzieje, mówi do siebie,

przewracając zatłuszczonymi palcami strony gazety. Kurewstwo na świecie jak widać nie zanika, a co więcej pleni się bez opamiętania. Taką diagnozę stawia po przejrzeniu stron z wiadomościami z kraju i ze świata. Kolumny publicystyczne i gospodarcze przerzuca, nie zawieszając na nich dłużej wzroku. Sport przykuwa jego uwagę na dwie grzanki, szczególnie gry zespołowe go pociągają. Nie jest fanatycznym kibicem żadnego konkretnego klubu piłkarskiego, nie dałby się zabić w imię ukochanej drużyny, ale lubi piłkę. Szczególnie angielską. To prawdziwa sztuka, uważa, niemiecki futbol to taśmowe wyroby z piłkarskiego Kruppa, zaś włoska piłka to odpustowa dell'arte, za to angielski futbol to prawdziwy teatr edwardiański. Jednocześnie nigdy nie jest w stanie się zdecydować, po czyjej stronie powinny być jego sympatie, gdy na scenę wychodzą ci z Chelsea i Nottingham Forest albo Blackburn i Tottenham. Może powinien być za Manchesterem, choćby ze względu na Moza? Generalnie jednak jest mu to kompletnie obojętne. Tak samo jak z koszykówką, którą pasjonuje się bardziej w wymiarze europejskim niż amerykańskim. Dlatego w starciu Realu Madryt i Olympiakosu Pireus od początku trzyma stronę Hiszpanów, ale zupełnie nieważny jest dla niego wynik starcia Charlotte Hornets i Chicago Bulls. Za to jeśli chodzi o wyniki ligi hokejowej, które również podaje gazeta, to jego sympatia nieodmiennie jest po stronie Pingwinów z Pittsburgha. Szczególnie cieszy go oglądanie twarzy Pingwinów siedzących w boksie lub na ławce kar. Takie pocziwe ptaki, myśli sobie z rozbawieniem.

No dobra, mówi do siebie i przełyka ostatni kęs. Popija go herbatą i zamyka gazetę.

Odsłuchuje sekretarkę (zadzwoń później, odezwij się do mnie, dziś wieczorem szykuje się niezła zabawa, jeszcze do ciebie przekreślę). Włącza telewizor, nie w poszukiwaniu jakiegoś interesującego programu, ale w poczuciu zagrożenia. Może będzie jakiś program podróżniczy albo historyczny, na przykład z cyklu "Zaginione cywilizacje", zastanawia się. Od razu jednak natrafia na serwis informacyjny. No nie, mówi, to już przesada, dość mam tego. Niech spierdalają wszyscy, mam swoje problemy. Nie muszę oglądać i słuchać cudzych. I zamiast poskakać trochę po kanałach w poszukiwaniu cyklicznego programu "Poza granice świadomości" albo "Tajemnice zapomnianych królestw" lub "Starożytny Egipt odkrywany na nowo", wyłącza odbiornik i nastawia płytę. Such a little thing makes such a big difference śpiewa Morrissey. To prawda, mówi, byle jakie bzdury zmieniają losy całych narodów. Coś trzeba ze sobą zrobić, żeby nie zwariować. Najlepiej skorzystać z którejś nadarżającej się okazji i gdzieś się zabawić. Trzeba będzie tu i ówdzie zadzwonić. Sięga po sfatygowany kalendarz z telefonami. Zaczynamy tutaj, wskazuje sobie jedno z nazwisk w alfabetycznym spisie. Jesteś tyle wart, ile twój notes z telefonami, wypowiada sentencję, którą kierują się co poniektórzy jego znajomi. W takim razie jestem niewiele wart, uświadamia sobie, jednak bez żalu. Gdy będę umierał, mój notes z telefonami musi być gruby i błyszczeć diamentami sławnych nazwisk. A na razie wymyślmy coś na wieczór, upodlijmy się, zbydlaczmy, zeszmaćmy, lub inaczej, zabawmy się z klasą, w blichtrze złudnego bogactwa. Niech wróca znowu wielkie pijaństwa, wzloty gęstych nocy, niech od teraz każdy dzień będzie nową, wspaniałą niedzielą.

Budzi się w obcym mieszkaniu w niedzielę, kilka minut po dziewiątej. Niech to szlag trafi, myśli, co ja zrobiłem. Wszystko nie tak, nie tak. Wstaje z łóżka lub rozłożonego na podłodze materaca i przez prawie niezauważalny moment się chwieje, jakby nie mógł się zdecydować, w jakiej pozycji ma zbliżyć się do okna, by dobrze zorientować się w zaistniałej sytuacji. Mrużąc szczypiące oczy, wygląda przez szybę. Co za obrzydliwość, określa pogodę. Jest zimno, gwałtownie wieje i pada deszcz ze śniegiem. Trzeba stąd uciec, decyduje, idąc do kuchni. Nastawia wodę na herbatę. Chyba jestem alkoholikiem, myśli, skoro zerwał mi się film. Być może w kuchni kogoś spotyka, kolegę, z którym razem przyszedł, albo, czego perspektywa go przeraża, poznanych poprzedniego dnia nowych przyjaciół od serca. Włącza stojące na parapecie radio, by zakłóciło nieznośny szum w jego głowie. Poranny serwis informacyjny jest jakby zawstydzony, doniesienia z frontu wymawiane są urywanymi,

cichymi i niewyraźnymi półdaniami. Jest niewyspany, głodny, jego głowa jest rozrywana na kawałki podczaszkowymi eksplozjami, a w lodówce nie ma zupełnie nic, czym mógłby ten głód zaspokoić. Na dodatek początkowo nie tak wyraźny kac teraz zaczyna nieprzyjemnie narastać. Czeką go też podróże przez całe miasto i powtarzające się jak katastrofy lotnicze telefony, których chciałby za wszelką cenę uniknąć. Te perspektywy rozpościerają się przed nim na wzór czarnych dywanów przed zstępującymi z nieba urzędnikami państwowymi. Niedziela rozkwita w nim jak nieuleczalna choroba.

39.

OSTATNI ODCINEK POPULARNEGO SERIALU KRYMINALNEGO Z WYRAŹNYMI AMBICJAMI ARTYSTYCZNYMI

I właśnie teraz idę po długich, pedantycznie wymodelowanych schodach, widzę cię przed sobą, jak z przyzwyczajenia pokonujesz te stopnie, uśmiecham się dyskretnie, przyśpieszam niezauważalnie kroku. Inni przechodnie zapatrzeni w swe torby i nesesery uciekają na boki, podświadomi nadciągającej zbrodni. Jesteśmy tylko my oboje i listopad, który jest jak muzyka z wytwórni 4AD z pierwszej połowy lat osiemdziesiątych [jeśli rozumiesz to porównanie, spróbuj ewentualnie wyobrazić to sobie, słuchając jakiejś triphopowej płyty). Pewny swego konwój limuzyn, eskortowanych przez migające niebieskimi i czerwonymi światłami radiowozy, rozcina listopadowy bezruch. W chwilę potem niknie w deszczu i mgle, rozjeżdża się, roztopia w mieszance asfaltu, wody i ciemności. Moje buty na miękkich podszwach suną cicho po powierzchni, słyszę wyraźnie miarowe postukiwanie twoich obcasów niczym transowy rytm perkusji. Deszcz spełnia rolę partii elektronicznych. Podchodzę bliżej, bynajmniej nie gwałtownie, w moich krokach jest elegancja i skrywana zwinność. Poprawiam ruchem zapamiętanym z telewizji kołnierz marynarki lub płaszcz i gładzę delikatnie opuszkami palców twoją szyję. Jutro gazety o największych nakładach na pierwszych stronach opublikują mój portret pamięciowy. Zapłacę śmiesznie małe pieniądze, by móc ujrzeć swą zdeformowaną twarz narysowaną przez uzdolnionego grafika, który zamiast realizować się w największych projektach artystycznych, rozmienia się na drobne w chałturach. Znow uśmiechnę się krzywo, poczuję zapach liści przed moim domem, pomyślę, że ta chwila jest niepowtarzalna. Zagubiona na pozór taksówka przemknie z naddźwiękową prędkością tuż nad czubkami moich butów. Przejdę na drugą stronę ulicy i wsiądę do nadjeżdżającego właśnie jak na zawołanie autobusu. Opierając się plecami o barierkę przy tylnej szybie, prawą rękę zacisnę mocno na metalowej rurce, palcami lewej będę obracał w kieszeni zapalniczkę. Przystanki będą powtarzały się z niezmienną doskonałością. Wsiądę jako jedyny niedaleko końca trasy. Okręzną drogą przez nagie krzaki i puste o tej porze szkolne boisko wrócę do domu i nie zapalając światła, nie zdejmując obuwia ani wierzchniego okrycia, usiądę na podłodze. Ciężkie kotary nie przepuszczą bladej poświaty telewizyjnego ekranu. Spiker profesjonalnie odczyta komunikat, zwrócę uwagę na jego krzykliwie kolorowy krawat, przypomni mi się jego szokujące wyznanie na pierwszej stronie brukowego tygodnika.

Za pięć minut z położonej tuż nad rzeką stacji odjedzie ostatni podmiejski pociąg wypełniony po brzegi agentami tajnej policji, marszczącymi z wysiłku zapamiętania mojej twarzy nieforemne czoła. Koła stukające z nieznaną wcześniej regularnością, wbijające się w triphopowy rytm, wagony wskakujące sobie na plecy na zakrętach. Ostatnie domy na przedmieściach zamieniają się w stare magazyny, a te z kolei po pewnym czasie w drzewa, pomiędzy którymi nerwowo drgające światła latarek zaczną nawoływać się, przerażone perspektywą wyczerpania baterii. Świetnie zamaskowany na poboczu wóz pościgowy będzie niecierpliwie rżał i wierzgał kopytami, lejąc pianę spod maski. Poziom adrenaliny gwałtownie

się podniesie, spocone ręce łowców nagród zaczną opadać z zastraszającą prędkością. Zimny świt obudzi ich skostniałych i wściekłych. Zapalą pierwsze papierosy, niezdarnie operując sztywnymi palcami, podczas gdy ja nastawię wodę na herbatę, wejdę do łazienki i nachyłę się nad umywalką, by chlusnąć sobie w twarz garścią zimnej wody. Spojrzę w lustro z wyraźnie eksponowanym niezadowoleniem. Zmienię fizys i ubranie, wyjdę bezszelestnie tajnym wyjściem przez szafę w dużym pokoju i nieprzetartym szlakiem pomiędzy ławkami na osiedlowej promenadzie pobiegnę w kierunku sąsiedniej dzielnicy, na przystanek, z którego jeździsz codziennie rano do śródmieścia, porzucając niedopałki dziwnie podobnym do odkładania słuchawki ruchem. Moje palce zaczną puchnąć i ciemnieć.

40.

"JESIEŃ ŚREDNIOWIECZA" WYPOŻYCZONA Z BIBLIOTEKI UNIwersyteckiej GINIE W NIE WYJAŚNIONYCH OKOLICZNOŚCIACH

Potężne, grube, ciemne drewniane ławy, niski ceglany strop, kręte, wąskie i strome schody, rozgrzewający głowę drżący płomień pochodni, chrzęst zbroi, a może kości. Kilka wielkich, potężnych psów, z których pysków ściekają długie sznurki flegmy. Czekają na resztki ze stołu, znak, że można skoczyć, chwycić zdobycz potężnymi szczękami i wrócić na swoje miejsce, by tam oddać się niezastąpionej przyjemności rozszarpywania i gryzienia. Ociekające tłuszczem, poskręcane brody, błyszczące oczy i nabrzmiałe chorobą palce, wyciągające się przy wtórze głośnego śmiechu po misternie rzeźbione, bogato inkrustowane kielichy z cierpkim winem. Kopnięcie posługacza, zbyt łatwe uwiedzenie tłustej dziewczki, zabicie wroga, zmówienie pacierza. Ciężki, złoty krzyż uderzający miarowo o metalowe piersi. Taki obraz zachowany został z dzieciństwa, z filmu przygodowego, utwierdzony serialem dokumentalnym z cyklu "Wielkie bitwy średniowiecza". Czas brzęku oręża i klasztornych chorałów. Purpurowo-ciemnożółte średniowiecze. Brązowiejące jak październikowe liście. Średniowiecze trzech monoteistycznych wiar: Huizingi, Le Goffa i Boscha. Spływające śluzem zmieszany z krwią i śmierdzącą ropą. Obrazy tajemniczych chorób i straszliwych, szpecących aż do ohydy kalectw. Średniowiecze Rutgera Hauera, który w filmie "Flesh and Blood" wymachując obosiecznym mieczem toruje sobie drogę do nieśmiertelności i leksykonów historii filmu. Sztywno wyprostowani, zamknięci w geometrię hełmów garnckowych krzyżowcy spinają konie na tle doskonale, filmowo płonących domostw. Morowe powietrze gwizdże i szeleści między drewnianymi chałupami i basztami niezdobywalnego zamczyska, gdzie schronił się okrutny władca wraz z przerażonym, ale wciąż przymilnym mu dworem, płaczącym się w nagle zbyt dużych, niewygodnych szatach. Równe, choć powolne kroki nieznajomego pomiędzy skrzydłami fortecy, ledwo zauważalny cień na murze, krótki błysk na ostrzu halabardy, cichy, niestłyszalny dla dworzan i straży jęk wartownika, nagłe zawirowanie w sali balowej, kilka krótkich zduszonych okrzyków, i nagle ukazuje się Maska Śmierci Szkarłatnej, precudna kanonada wszystkich odcieni rozkładu. Oto idą zakonnicy i niosą świece, wzbijając kurz ciężkimi sandałami. Plastycznie uzdolniony nieboszczyk ozdabia kryptę freskami przedstawiającymi taniec szkieletów. Zastępy okutych w stal intonują pieśń religijną o nieskończonej liczbie zwrotek i zatrzaszkując desperacko przyłbice, ruszają z kopyta. Młoda wieśniaczka oddaje się gdzieś w średniowiecznej roślinności brudnemu parobczakowi, nie wiedząc nawet, że oto staje się nosicielką nowej wiary. Następuje nagłe przyśpieszenie filmu. Rozgrzany do czerwoności projektor zapala się, taśma się zrywa. Jest upalny schyłek XX wieku, przed chwilą na pobliskim skrzyżowaniu w walce autobusu z tramwajem zginęło osiem osób, a pozostałe wciąż nie mogą się doliczyć swoich nóg i rąk. Tłum gęstnieje i za chwilę rzuci się z wraskiem, by ogryzać kości. Od czasów zarazy panuje nieopisany głód i nie ma żadnych przesłanek ku zakończeniu wojny.

Siedzi pochylony nad biurkiem, przerzuca pojedyncze kartki papieru z lewej strony na prawą. Potem trochę z przymusu kartkuje książkę, przypomina sobie, że trzeba napisać ten list, ale jak się do tego zabrać, żeby miało to coś wspólnego ze szlachetną, niestety zanikającą już, sztuką epistolografii? Więc co napisać? Że powieli się wciąż ten sam model tygodnia: od poniedziałku do środy wieczory z telewizorem, czwartek kawiarnia u artystów, piątek pijaństwo, sobota pijaństwo, niedziela koszmarny kac. To po prostu trywialne, ten list ma być przecież głosem w jakiejś dyskusji, myśli i zapala papierosa. Wokół niego dużo rozrzuconych w nieładzie papierów, maszyna do pisania w ciągłej gotowości bojowej, w tle ciężkie, potężne regały z książkami, podparte na wszelki wypadek stertami pism społeczno-kulturalnych. Na biurku kubek do herbaty łąsi się do paczki papierosów. I brakuje tylko cierplivej ekipy filmowej z telewizyjnego programu intelektualno-ekshibicjonistycznego. Tak, pamiętam jakby to było wczoraj, mówi, patrząc w miejsce, gdzie styka się ściana z sufitem. Mieliliśmy po dwadzieścia kilka lat, wie pani redaktor, jak to jest, kiedy ma się dwadzieścia kilka lat. Uśmiecha się na wspomnienie tamtych dni. Była wiosna, nie tak jak teraz. Ostre, choć jeszcze nie gorące słońce, lekki, rześki wiaterek, roześmiane dziewczęta zaczynały pokazywać nogi, szliśmy przez park, żywo rozprawialiśmy. Prowadziliśmy ciągłe dysputy, nierzadko ciągnące się do późna w nocy, a czasami świt zaskakiwał nas na teoretycznym rozstrzygnięciu ważnych kwestii, bez których świat by się rozleciał. To były inne czasy, inny wymiar, inna jakość myślenia, zdolność przeżywania wspaniałych, wręcz metafizycznych uniesień. Wtedy bardziej liczyło się słowo, zarówno to napisane, jak i wypowiedziane. Teraz liczą się tylko hasła, slogany, obrazki. Prawdziwe słowo traci magiczną moc.

Ach, trzeba napisać ten list, przypomina sobie wyrwany ze wspomnień. Lecz cóż w nim zawrzeć? Skomplikowane układy tajemnych wzorów? Czy też właściwe hasło ma być ukryte między wierszami lub składać się na nie mają tylko trzecie litery nieparzystych wyrazów? Albo dziwny cytat zaczerpnięty z mrocznej powieści gotyckiej jest kluczem do rozwiązania zagadki, albo klątwa z czasów Wielkiej Inkwizycji - cała wioska podejrzana o sprzyjanie Złemu wyrżnięta w pień przez zapamiętałych w czynie żołnierzy Krzyża. Zapala papierosa, powoli, jakby z wysiłkiem, wstaje. Podchodzi do ściany, wodzi palcem po grzbietach książek na półce, wchodząc w zawsze przyjemny fizyczny kontakt z fakturą okładek, wyciąga z otwartej z uczuciem niepokoju o to, czy nie wysypią się z niej cuchnące truchła, szafy stare mapy i ryciny, z szuflady zaś wyjmuje teczkę z wyblakłymi rękopisami. Strzepuje w ostatniej chwili długą pałeczkę popiołu do popielniczki, tak że udało się nie zabrudzić dywanu. Kciukiem i palcem wskazującym pociera charakterystycznym gestem zmęczone oczy, zaciąga się papierosem, tak intensywnie, że ten gwałtownie się kurczy. Zakłada okulary i zabiera się do uważnego czytania rękopisów. Przez potężne szkło powiększające bada pedantycznie cienkie kreski rycin, mierzy liniałem odległości na mapie, przekładając centymetry na mile i kilometry, zaznacza doskonale naostrzonym ołówkiem jakieś miejsca, cofa się od mapy niczym malarz próbujący nabrać z większej odległości krytycznego dystansu do swego dzieła, z najwyższej półki wyciąga gruby, ciężki, pachnący pleśnią tom oprawny w skórę, z tłoczonymi literami na okładce. Z nabożeństwem archiwisty przerzuca powoli grube strony ciężkiego, lanego papieru, zatrzymuje wzrok na spisanych z mnisią starannością zeznaniach zagubionych podróżników, przepisuje do małego notesu urywki zdań i pojedyncze wyrazy. Gasi papierosa, a właściwie już tylko jego filtr, zdejmuje okulary, przez chwilę zamyślony spogląda zmrużonymi oczami na ścianę, jakby to na niej jawiły mu się wytworzone w umyśle pod wpływem lektury imaginowane slajdy, potem wzrok przesuwa na krajobraz za oknem. Zapala kolejnego papierosa, zakłada nogę na nogę.

Zdarzyło się to ponad dwadzieścia lat temu, mówi, to były zupełnie inne czasy, wie pani, inni ludzie, inne domy, samochody, inne sklepy, nawet drzewa na wiosnę pachniały inaczej. Gdy ma się tyle lat, ile my wtedy mieliśmy, to jeszcze żyje się złudzeniami, mówi i gasi papierosa w niewidzialnej tym razem popielniczce. Wciąż szukam Ultima Thule, przyznaje się zmęczonym głosem, muszę wrócić do moich map i notatek, myślę, że jestem już blisko. Wychodzi do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Muszę zażyć aspirynę, myśli, i nagrać sobie nowe wykonania chorałów gregoriańskich. Wsypuje cukier i miesza dokładnie. Zaraz, zaraz, coś mu wpada do głowy, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów, z paczki wyciąga jednego i zapala. Śpiewy gregoriańskie, uśmiecha się, bestsellerowa płyta "Canto Gregoriano" nagrana przez benedyktynów z opactwa Santo Domingo de Silos. Wraca do pokoju, z najniższej szuflady wyciąga kilka roczników pożółkłych gazet. Nerwowo przerzuca strony, rozbieganym wzrokiem nadgryzając tytuły. Jest, jest, pokrzykuje podniecony jak dziecko, wszystko się zgadza. Opactwo benedyktynów, seria tajemniczych zgonów, spełniająca się po siedmiu wiekach klątwa rzucona przez oszalałego opata. Tajne sprzysiężenie nie żartuje, działa szybko, skutecznie i nie zostawia żadnych śladów. Ktoś im nadepnął na ogon, myśli i znów zapala papierosa, nie widząc, że w popielniczce jeszcze dogorywa poprzedni. Podnosi słuchawkę telefonu, wykręca numer, przez chwilę czeka, później mówi: to ja, muszę się z tobą szybko spotkać, to pilne, chyba coś mam, tak, to raczej poważna sprawa, dobrze, za godzinę w muzeum. Odkłada słuchawkę, przechodzi po nim rozkoszny dreszcz emocji, zarzuca płaszcz, przez chwilę nie mogąc odnaleźć dłonią rękawa. Wychodzi, zamyka drzwi, zbiega po schodach z palącym się papierosem w ustach. Wyskakuje na ulicę, chce złapać taksówkę, ale żadnej nie ma w zasięgu ręki ani nawet wzroku. Nikt nigdy nie odnajdzie jego ciała.

42.

DŁUGO SIĘ WAHAM, AZ WRESZCIE SIĘGAM PO "SUBSTANCE" JOY DIVISION

Jesień i niedziela. Ciemno i zimno. Cóż można powiedzieć więcej? I któż może tego dokonać? No chyba, że tylko On - Telewizor. Mówi do mnie wykrzywionymi ustami Miłosza Biedrzyckiego: poezja to społeczne zwierzę języka. Jakie społeczeństwo, jakie zwierzę, jaki język, pytam się. Społeczeństwo jest zamknięte, zwierzę oszalałe ze strachu, a język rozdwojony. Czyje mają być te języki zwierząt, bełkotliwe języki społeczeństw? Moje prywatne zwierzę wywala wielki mięsisty jęzor. Moje zwierzę z zaciekawieniem czyta w kolorowych magazynach pochlebne recenzje z najnowszych narkotyków. Tutaj już nie cierpi się na piękną melancholię, ale ciężką nerwicę, a młodzi bożkowie rock'n'rolla mówią uwielbiam seks i narkotyki. Za oknami strzelają petardy, jak w każde święto. Moje zwierzę wpada w panikę, więc głaszczę je po głowie, a ono mruży oczy i ociera się o mnie przymilnie swoim wielkim łbem. Na stole zamiast tradycyjnych świątecznych potraw leży nadgryziony, wystygły Borges. "Historia de la noche. Los conjurados" ma napisane na panierce. Nie, nie znam hiszpańskiego. Tylko kilka pojedynczych słów nie łączących się w żadną logiczną wypowiedź: cerveza, salvation, Gaudi. W tym kraju, w którym, będąc przejazdem, nierozsądnie zasiedziałem się ponad miarę, wciąż trwa jarmarczne święto - uliczni sprzedawcy bezgłośnie oferują baloniki, watę cukrową i znicze. Wspaniałe miejsce, mówię wam, tu zawsze jest ciemno i zimno, samo miasto wygląda jak z filmów science fiction, ale nie tych cudownie tekturowo-utopijnych w technicolorze, gdzie wszyscy poruszają się dziwnymi pojazdami idealnie pod kątem prostym skręcającymi w powietrznych korytarzach, albo w wysoko zawieszonych kolejkach na poduszkach magnetycznych i uprawiają seks na odległość, ale raczej z tych antyutopii, gdzie po pustych ulicach wiatr goni śmiecie, z nieba leje się kwaśny deszcz, coś gwizdże, świszczę, w bramie błysnie śmierć, na środku rzeki wynurzy się nagle atomowa łódź podwodna, która miała być

zupełnie gdzie indziej, słycać wrzask kota i z mgły wyskakuje samo-chód-widmo. I być może teraz właśnie jesteśmy ostatnimi na tej planecie, może zżera nas popromienna choroba, a w ruinach miasta kryje się Zabójca. Właśnie w tym miejscu, w tej chwili, tak nieprawdopodobna jest okładka pisma "Q", które przedstawia listę stu płyt, filmów i książek, które zmieniły nasze życie. Nie, nie, skończyło się, nic już nie zmienia życia prócz miazdzących naczyń wieńcowych, zakrzepów w tętnicach, złośliwych narośli rakowych komórek. Żadne płyty, książki, filmy.

To prawda, że zasnąłem na filmie "Stroszek" Herzoga. To jeden z niewielu momentów, gdy zasnąłem, oglądając film. Wstyd, bo po obejrzeniu "Stroszka" Ian Curtis się powiesił. Ja nie zadyndałem, zawsze wolałem zasypiać niż umierać, a teraz całe miasto jest wymarłe, jak po wojnie neutronowej. Pamiętacie takie obrazki: wszystko nienaruszone - domy, samochody, pomniki, tylko z ludzi pozostały szkielety? Cała woda tworząca ciała wyparowała, tak jak w słońcu znikają kałuże, jak wysycha ciało po wyjściu z jeziora, jak schnie na wietrze ubranie wyprane w zimnej górskiej rzece. Na tych rysunkach były tylko szkielety. Szkielety sekretarek przy maszynach do pisania z kostkami palców wymierzonymi w klawiaturę, szkielety szefów rozparte wygodnie i autorytarnie w nienaruszonych, miękkich, wielkich fotelach, szkielety żon z troską pochylone nad kuchnią, z której wyparowała zupa. Oto Nowe Pompeje. No tak, przydałyby się jeszcze szkielety kopulujące. I tak oto znika z ekranu szkielet Miłosa Biedrzyckiego, a wraz z nim nikną mitologiczne zwierzęta i ich jadowite języki.

Tymczasem, jak donoszą agencje, w Chinach pojawił się mityczny potwór Sibuxiang, którego nazwę tłumaczy się jako ni ryba, ni ptak. Sieje zamieszanie w południowych prowincjach kraju. Niektórzy uważają to za zapowiedź Apokalipsy, jako że jego imię składa się z dziewięciu liter, a dziewiątka to odwrócona szóstka, w dodatku dzieli się przez trzy, a trzy szóstki to imię Bestii. Tak więc Sibuxiang jest Lewiatanem, który przybywa pod nową postacią, już nie tylko jako stwór morski (ni ryba), ale też latający (choć ni ptak). Inni utrzymują, że Chrystus był tylko wizją narkotyczną, efektem przedawkowania przez wizjonerów grzybów-psylocybów. To pocieszające, że można wszystko zwalić na Mechagodzille, Krakeny, Lewiatany, na sfermentowane drożdże, psylocybinę, amfetaminę. Od razu robi się lżej.

Wyłączam telewizor. Znikają szkielety, zwierzęta i języki, znika Sibuxiang. Robię sobie następną herbatę, choć po jej wypiciu nie jest mi ani bardziej ciepło, ani mniej sennie, za to niepokój zaczyna nabierać cech metafizycznych. Więc może to wszystko tutaj to tylko wynik przedawkowania teiny? Niewykluczone, że tego miasta nie ma, a więc nie ma ulicy, domu, niedzieli, ciemności i zimna. A jeśli jest coś, to wykonano to z pewnością zgodnie z zaleceniami - cisza, spokój, zrównoważenie. Na złość kosmitom życie tutaj wciąż trwa.

43.

ZŁY MIESIĄC

Nie da się ukryć, nie trzeba się nawet specjalnie rozglądać, żeby zobaczyć, że koszmarnie tu ponuro, i najprawdopodobniej tak jest zawsze. Przesiąknięte padającym od tygodni deszczem ubranie ciąży i zaczyna cuchnąć. Cuchną też gnijące w kałużach liście, które nie zdążyły spłonąć w październikowych ogniskach. Teraz rozkładają się w brudnej wodzie, atakując nozdrza ostrym, kwaśnym fetorem. Ciężą ubłocone buty, zapadające się z każdym krokiem w grząską mieszanę piasku, ziemi, resztek wapna i cementu. Chudy, niski mężczyzna w okularach wyciąga pomietą paczkę tanich, podłych papierosów; one zabijają głód. Bez widocznej przyjemności zapala jednego z nich i zaciąga się głęboko, aż do podbrzusza. Spogląda znudzonym wzrokiem na wodę. Kaczki pływające po kanale pośród wraków statków rzecznych i barek, beczynnie rdzewiejących od kilkunastu lat, usiłują łąpać krople

tlustego deszczu padające do wody. Mężczyzna rzuca im niedopałek papierosa i zaśmiewa się anemicznie, gdy ruszają nań tłumnie, kłapiąc płaskimi dziobami i machając skrzydłami. Przez pobliski wiadukt bezszelestnie przepływa dalekobieżny pociąg z pustymi przedziałami i martwym maszynistą w sterowni. Wymiotnie żółte kwadraciki okien znikają za długim, starym, jeszcze dziewiętnastowiecznym budynkiem magazynu. Spoglądam na mężczyznę, który sięga po następnego papierosa. Jest moim przełożonym, to od niego zależy, czy będę mógł tutaj nadal przychodzić. Nadaję się, wiem o tym. Nie dość, że jestem silny, to nie skarżę się na warunki. Nie mogę. Ukrywam się, bo jestem poszukiwany, tutaj zaś staję się bezpieczny. Jednak być ostrożny, robiąc każdy krok, wykonując każdy gest. Jesień to zły okres na ukrywanie się. Trzeba bez przerwy się zmieniać, żeby nie dać się wyśledzić, otoczyć. Łatwo wpaść w ich ręce, bo wszystko zostało przemalowane, przerobione i zamienione w wielką pułapkę. Księgarnie są jak kina pornograficzne, sklepy muzyczne jak galanteryjne, cynamonowe jak paprykowe, pieprzowe jak majerankowe. W sklepie z fajkami zaś sprzedają broń. Całe miasto, dysząc ciężko, nasłuchuje kroków, śledzi cienie w bramach, wyteża słuch i na wyścigi biegnie donosić. W mojej głowie powstają tymczasem antypaństwowe pomysły, spiski, zмовy, hasła i odzewy. Na szerokich ulicach odbywają się uliczne walki z policją, uliczne tańce na festynach, bezkarnie szaleją uliczni sprzedawcy - mam to wszystko w jednym oku. Wybałuszam je przerażająco, mrugam tak, jakby waliły się zapory wodne na największych rzekach. Znikam w czeluściach i gubię ślad. Przygotowuję się do ostatecznej rozgrywki. Ubieram koszulę, zapuszczam broń, konstruuje bombę. Mężczyzna w okularach daje znać, że na dzisiaj koniec. Podnosi rękę w geście pożegnania i niezdarnie omijając kałuże, idzie w kierunku magazynu. Co za miejsce, myślę, gdy znika. Domy stojące w jednym miejscu tylko z przyzwyczajenia, kamienice chowające z troską w swoich wilgotnych piwnicach wspomnienia ponurych zbrodni, tłoczne, wypełnione syntetycznym zapachem fast foodów dworce kolejowe, porty rzeczne pełne wypatroszonych barek i holowników, pachnących rdzą i smarami, pojonych w gorączyce tłustą wodą brudnożółtej rzeki, od lat cierpliwie przyjmującej kapsle i puste butelki po piwie, rzucane z rozmachem z nadbrzeżnych schodów i krzaków. Deszcz rozmywa kanciaste kształty barek i holowników. Kaczki znikają gdzieś pomiędzy nimi. Przez wiadukt przejeżdża kolejny pociąg. Próbuje zgadnąć, dokąd, ale przypominam sobie, że nie wiem nawet, w którym kierunku jedzie. Zawsze miałem problemy z umiejscowieniem stron świata. Będziesz się smażył w ogniu piekielnym, mówi do mnie lewitujący nad magazynem ksiądz Jabłoński, mój licealny przewodnik po piekielnych korytarzach. Nie, ja będę eksplodował w ogniach bengalskich, odpowiadam. Za chwilę dam znak.

44.

SZCZĘŚLIWE DNI

Śnieg, śnieg, wszędzie mnóstwo śniegu. W dzień jednak temperatura waha się między dodatnią a ujemną, na ulicach, pod kołami pojazdów, wszystko apetycznie chlupocze, słońce roztopia pozostałości mroźnej nocy, gdy panuje minus kilka stopni i do szyby lecą jak w dym duże, ale cienkie i płaskie, podobne do hostii płaty śniegu. Rano znów ciężkie buty narciarskie zapadają się w nim na całą wysokość i zimne języki liżą nogi. Trzeba przejść na drugą stronę ulicy, ostrożnie i powoli, bo posypana jest koksem, na którym mają hamować wpadające w poślizg samochody. Po przejściu ulicy można już, uprzednio oczyściwszy podeszwy butów, założyć narty. Odepchnąć się kijkami, żeby nabrać przyspieszenia. Od skrzyżowania ciągle w dół, później wąską drogą przez las. Na tym odcinku trzeba jechać pługiem, inaczej można nie wytracić prędkości, której nabiera się w oblodzonej rynnie. Należy też umiejętnie omijać wystające spod świeżego śniegu fragmenty korzeni i zawsze

niebezpieczne kamienie. Można się przewrócić i wpaść boleśnie pomiędzy drzewa, które nie przepuszczą okazji, żeby opleść i przez kilka minut nie wypuszczać z objęć, a poza tym przecież szkoda ślizgów. Po prawej stronie jest strumyk. Nietrudno do niego wjechać, jeśli na chwilę przestanie się uważać, zwłaszcza że jest przykryty przez maskujące czapy śnieżne, spod których jednak da się słyszeć jednostajny szum wody. W kieszeni kurtki mrozi się tabliczka czekolady i paczka chusteczek jednorazowych. Obiad o piętnastej. Znów perwersyjna gra tłustych pieczeni, słonych, gęstych sosów i słodkich podsmażanych buraków, popijanych rzadkim, kwaśnym, kłującym w węzły chłonne kompotem. Po przesyleniu wspinaczka po drewnianych skrzypiących schodach. Leżenie w rozpiętych spodniach. Podnoszona z wysiłkiem ręka, przebierająca palcami w rozrzuconych po prześcieradle czcionkach lokalnych gazet. Po dwóch godzinach trzeba się podnieść, choćby swemu ciału na przekór, wykonać obrzęd zakładania butów, czapki i rękawic, by pójść, ślizgając się po pochyłościach twardego, zamrożonego już o tej godzinie śniegu, w kierunku umownego centrum, gdzie stoi betonowy kościół, kamienna poczta i drewniana remiza straży pożarnej. A tuż przed nimi zadymiona knajpa, w której przyjmuję rozleniwiające dobrodziejstwo grzanego piwa z żółtkiem w litrowym glinianym dzbanku z nadtłuczonym uchem. Przerzucam kartki zakupionego po drodze tygodnika. Przy sąsiednim stoliku pije wódkę martwy piosenkarz. Z niechętną uprzejmością uśmiecha się do młodej kelnerki, która, pochylając się nad jego nieświeżym oddechem, niepewnie zdejmuje z tacy butelkę i klasyczny zestaw zakąsek. Podobno w górach nie ma się kaca. Świeże powietrze, mikroklimat, więc można sobie pozwolić na więcej, zanim nastąpi skryty odwrót do miasta, do starych okopów. Rytuał dworca, kilka gazet na drogę, których nawet nie będzie się chciało przeczytać. Potem opowieść przy butelce brandy, pikantne historyjki, głupi dowcip z cyklu, który zawładnął całym krajem. Piosenkarz wygląda jak żuk. Ma pancerz sztywnego swetra, trzy pary odnóży przebierających we włosach i kieszeniach i nerwowo poruszające się wąsy. Dopijam piwo i przełamując stan niechęci wstaję, zrzucając z siebie płaszcz obrusa w ludowe wzory, na pastwę losu porzucam bezbronny tygodnik, mijam szybkim krokiem, próbując nie oddychać, gnijące zwłoki piosenkarza i wychodzę wprost na uderzenie pancерnej pięści zimnego powietrza. Nagle padający gęsto śnieg przesłania mi świat, pokrywa grubą, ciężką warstwą ubranie, krępuje ruchy, wykręca boleśnie ręce i mocno kopie w podbrzusze. Światła domów i latarni uciekają gwałtownie przed moich zaskoczonych oczu.

45.

PAMIĘTNE PRZYJĘCIE SYLWESTRÓWE, GDY WIDZIELIŚMY SIĘ PO RAZ OSTATNI

Ta wojna zrobiła się już nudna, mimo usilnych zabiegów marketingowych specjalistów od promocji. Tak naprawdę to nic się nie dzieje, brak tu nagłych zwrotów akcji, błyskawicznych ofensyw i szaleńczych kontrofensyw, spektakularnych klęsk i oszałamiających zwycięstw, widowiskowych rzezi i wzruszających przykładów braterstwa. Kiedy należy zadrzeć, zamknąć z przestrachu i niesmaku oczy? Czym spowodować gwałtowne ruszenie się sumienia? Kolejnymi zagłodzonymi na śmierć uciekinierami? Jakimiś pourywanymi od wybuchów min kończynami? Tymi wszystkimi starymi chwytami, przestarzałymi, zużytymi modelami, które po raz kolejny usiłuje nam się sprzedać, za, przyznajmy to szczerze, całkiem niewygórowaną cenę. Tymczasem my tutaj patrzymy uważnie na dolne kończyny młodych kobiet, doskonale zamaskowani, okopani na strzeleckich stanowiskach, przy kawiarnianych stolikach, złani z otoczeniem za pomocą specjalnych kamuflaży gwarantujących niezauważalność w miejskich warunkach, przeliczając resztki pieniędzy niczym naboje, jedząc słodocze jak żelazne racje żywnościowe. Wszystko jest tak, jak przewidziano to w misternie ułożonym planie - cykle księżyca, runiczne znaki zostawione w umówionych

miejskach przez współpiskowców, hasła, odzewy, szyfry, zaklęcia. Za chwilę zacznie się przygotowanie artyleryjskie, które obróci to miłe miejsce w ogromną kupę niczego. Zmiecie wszystko, tak abyśmy mogli ruszyć do ataku spokojni o swoje ciała, za to z chóralnym śpiewem na ustach. Za chwilę z gromkim okrzykiem ruszymy do szturm i wnet, nim umilknie bojowe zawołanie, zdobędziemy to wzgórze. To będzie największa szarża wszech czasów.

I teraz jest już po wszystkim i jako zwycięzcy schodzimy ze zdobytego wzgórza w świetle sztucznych ogni, uzbrojeni w ciężkie butle alkoholi. Nad nami pękają kolorowe wybuchy, obok nas idą nasze kobiety, pod nami zalegają złoża naturalnych bogactw. Jeszcze nie wiemy, że właśnie staliśmy się kolejnym miotem świeżych kombatantów i będziemy musieli dźwigać jak rany nasze brzemie kulturowe - angielskie płyty, francuskie filmy, bułgarskie wino, amerykańskie powieści, jugosłowiańskich partyzantów.

Wtedy gdy schodziliśmy, całe niebo było w sztucznych ogniach, właściwie całe niebo było sztuczne, tak jak nasze prawie hollywoodzkie uśmiechy, i trudno było zauważyć, że od sztucznych ogni zaczynają zajmować się dekoracje. Upojeni zwycięstwem wracaliśmy na pozycje wyjściowe, włączając przez balkon lub okno kuchenne, bo to był parter. Wszystko było sztuczne jak modny materiał.

Ci faceci nie mają już żadnych pomysłów, nic do powiedzenia prócz komunałów, tego, co powtarzają mechanicznie do kamer lub nastawionych uszu, zrozumiałem, patrząc na zwycięzców, i przypomniało mi się, jak zanim zostaliśmy żołnierzami, niezniszczalnie staliśmy wrzeszcząc I wanna be adored, bo to był utwór Stone Roses, który nie dość, że otwierał ich pierwszą płytę, ale wszystkie krótkie zrywy, i przestraszyłem się, że już niedługo, a stanie się tak, że wisząc niczym amulet na szyi starego przyjaciela, będę ryczał: a czy pamiętasz, jak piliśmy tanie wina, kochaliśmy brzydkie dziewczyny, które odchodziły od nas z zadziwiającą regularnością, kradliśmy jabłka i mleko z kontenerów nad ranem, wracając z całonocnych popijaw, paliliśmy wspólne papierosy, mówiliśmy nie za głośno to wszystko kiedyś będzie nasze, słuchaliśmy zdegenerowanej muzyki na ogromnym magnetofonie szpulowym? A on mi będzie odpowiadał: to były gruzińskie wina, ale najbardziej to chyba bułgarskie - Mechandżijsko i Niedźwiedzia Krew, ale też węgierski Egri Bikaver, zanim zwyciężyła Sophia. Dziewczyny, które kochaliśmy, zawsze były piękne, na przykład ta smukła blondynka jakby wyjęta z lat sześćdziesiątych. Jabłek nigdy nie kradliśmy, tylko śliwki, których już potem nie mogliśmy jeść, bo obsługiwały wszystkie posiłki, chętniej niż mleko kradliśmy kefir z zielonymi kapslami, co do papierosów wszystko prawda, z tym że stopniowo przechodziliśmy na coraz droższe, lżejsze i mniej szkodliwe. I w pewnym momencie okazało się, że palenie gauloise'ów bez filtra wcale nie nobilituje. Ale pamiętam wszystko dokładnie, jakby to było wczoraj, choć zapomniałem, co działo się w zeszłym tygodniu.

Co tu pamiętać, krzywię się, to wszystko wciąż trwa, choć przyznam się, że już nie kradnę, raczej ze strachu przed zdemaskowaniem niż z powodu moralnej naprawy. Poza tym nie palę, od kefirów wolę jogurty, a od taniego wina drogie piwo, a co do dziewczyn, to umówmy się, że różnie to bywało.

Zmęczenie. Leżę bezradnie w łóżku, obrastam brudem i niemożnością, za oknem zmagają się żywioły. Wszystko jest powtarzalne niczym nerwobóle (najlepsze lekarstwo - srebrna pastylka z oderwanego zwieńczenia cukiernicy]. Wybuchają głowy, wulkany i kuchenki gazowe. Topią się bezpowrotnie pasażerowie transatlantyków i niegdysiejsze śniegi. Tak naprawdę nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie one są, jakimi korytami spływają w doliny z wysokich gór. A pamiętamy, że przedwiośniem kwitły pod lasem kaczeńce. Widzieliśmy tylko śniegi jutrzejsze, a wielkimi krokami nadchodziła odwilż.